NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

„Numer pojedynczy 32 halerzy" — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 27 lipca 1912. Nr. 30.

Walka z bandytami w Szczakowej.



Nr. 30. „Nowości Illustrowanych" zawiera: Tajemnicze zniknięcie w Tatrach. — Republika na wulkanie. — Dworek na wystawie architektonicznej w Krakowie. — Walki byków w Madrycie. — W powietrzu i na wodzie. — Europa w Afryce. — Początek końca. — Nowocześni bohaterowie olimpijscy. — Ćwiczenia „Czerwonego krzyża" pod Przemyślem. — Ostatni pogrzeb starochiński. — Przybytek gimnastyki rytmicznej. — Zgon wybitnego polityka.

Walka z bandytami w Szczakowej.

(Do illustracyi tytułowej).

Szajki bandytów, trapiące już od dłuższego czasu Królestwo Polskie, usiłują od czasu do czasu zmienić teren swych rozbójniczych operacyi i przyjeżdżają na „gościnne występy“ do Galicyi. Wyprawy te mają jednak na terenie galicyjskim bardzo mało szans powodzenia i kończą się dla bandytów bardzo smutno. W tych dniach, jedna z takich wypraw bandyckich już w pierwszej granicznej miejscowości, w Szczakowej, spotkała się z czujnem okiem władz bezpieczeństwa, które musiały stoczyć formalną bitwę z dwoma bandytami. Szli oni torem od Mysłowic i podejrzanym wyglądem zwrócili na siebie uwagę. To też gdy przybyli na stacyę w Szczakowie i wsiedli do pociągu, odchodzącego o godzinie z m. 30 popołudniu do Trzebini, jeden z ajentów policyjnych zażądał od nich wyjaśnień i legitymacyi. Jeden z zatrzymanych podał, że nazywa się Roman Mielnik, drugi zaś przedstawił się jako Józef Józefowicz z Łodzi, ponieważ jednak nie posiadali dokumentów, kazano im opuścić wagon i udać się do biura policyjnego na dworcu.

Podejrzani pasażerowie usłuchali pozornie tego wezwania i wyszli z wagonu, gdy jednak pociąg ruszył, usiłowali wskoczyć ponownie do wagonu, a gdy to im się nie udało, rzucili się do ucieczki w kierunku miasta. Za uciekającymi puścili się w pogoń ajenci i oficyał policyi p. Schroeter, który zaczął dopędzać uciekającego Józefowicza. Wtedy bandyta odwrócił się i dał 4 strzały do p. Schroetera, raniąc go ciężko, lecz na szczęście nie śmiertelnie. Huk strzałów zaalarmował mieszkańców sąsiednich domów, którzy przyłączyli się do pościgu. Józefowicz widząc, że nie ujdzie pogoni, stanął na środku potoku i stamtąd począł bez przerwy strzelać z mauzerowskiego karabinu. Oddał przeszło 200 strzałów, nie raniąc na szczęście nikogo. Wreszcie karabin odmówił mu posłuszeństwa, wówczas Józefowicz strzelił sobie w głowę z rewolweru i runął do wody. Wyciągnięto go z niej wprawdzie ciężko rannego, ale jeszcze żywego.

Drugi bandyta, Mielnik, uciekając przed pościgiem, strzelał bez przerwy, lecz widząc, że nie zdoła umknąć, strzelił w końcu do siebie i padł trupem na miejscu.

Przy zabitym i rannym bandycie znaleziono wielką liczbę amunicyi, co świadczy niewątpliwie, że mieli oni zamiar dokonania jakiejś ważniejszej „operacyi“ w tych okolicach. Czujność policyi udaremniła jednak tę wyprawę bandycką, która skończyła się krwawym pościgiem i zamachami samobójczymi bandytów. Jeden z epizodów tej niezwykłej w naszych stosunkach walki z bandytami przedstawia nasza tytułowa illustracya.



Walka z bandytami w Szczakowej: Oficyał policyi p. Henryk Schroeter, raniony przez bandytę.



Dworek na wystawie architektonicznej w Krakowie: Zewnętrzny widok dworku.



Republika na wulkanie: Broń skonfiskowana rewolucyonistom rojalistycznym w Portugalii.



Dworek na wystawie architektonicznej w Krakowie: Pokój jadalny (proj. H. Uziembło).



Walka z bandytami w Szczakowej: Raniony bandyta Józef Józefowicz.

Dworek na wystawie architektonicznej w Krakowie.

Wystawa architektoniczna w Krakowie obudziła ogólnie bardzo żywe zainteresowanie. Swiadczy o tem fakt, iż zwiedziło ją już dotychczas blisko 50 tysięcy osób. Obecnie wystawa została we wszystkich szczegółach wykończoną, gdyż zarówno część ogrodowa jest w pełnym rozkwicie jako też urządzono już wszystkie pawilony.

Na pierwsze miejsce wybija się piękny „podmiejski dworek“ projektowany przez artystę malarza, J. Czajkowskiego. Zarówno zewnątrz jak i wewnątrz przedstawia się bardzo okazale, a urządzenie jakiem zapełniono pokoje dworku. stanowi idealne połączenie wygody ze smakiem prawdziwie artystycznem. Dworek jest piętrowy i posiada po obu stronach dwie werandy. Na parterze znajduje się duży hall, rodzaj przedpokoju ogólnego, z którego na lewo wchodzi się do pokoju sypialnego, pokoju pani i pana, na prawo zaś do jadalni i obszernej kuchni.

Na piętrze znajduje się pokój bawialny, dziecinny i pokój panny. Dekoracyę wewnętrzną i umeblowanie projektowali artyści malarze: Bukowski, Uziembło, Frycz, Czajkowski, Matkowski, Tichy, Trojanowski i Bartłomiejczyk.

W dzisiejszym numerze dajemy zewnętrzny widok dworku oraz wewnętrzne urządzenie dwóch pokojów.



Dworek na wystawie architektonicznej w Krakowie: Urządzenie gabinetu i biblioteki.

Walki byków w Madrycie.

Dawne, starożytne walki gladyatorów, sieciarzy lub zapaśników na arenach rzymskich przetrwały do naszych czasów w Hiszpanii, wprawdzie w zmienionej formie, nie mniej jednak krwawe i straszne. Są to walki byków, które w Hiszpanii cieszą się wielką popularnością. Toreadorzy, którzy jakby rzymscy gladyatorzy w szranki do walki występują, są ulubieńcami całego niemal narodu, a być zwycięzcą w walce z bykiem znaczy w Hiszpanii prawie tyle, co zdobyć sobie wieniec w igrzyskach olimpijskich.



Europa w Afryce: Bankiet notablów arabskich w Tangerze.

Na walki byków, które odbywają się w Madrycie, zjeżdżają tłumy nie tylko z Hiszpanii, ale niemal z całego świata. Im krwawszemi są starcia, im więcej toreadorów i powalonych przez byki koni wyniosą z areny, tem zapasy te bywają świetniejsze i bardziej podziwiane.

Walki odbywają się w ogromnej arenie, otoczonej wokoło wieńcem lóż i galeryi, zapełnionych tłumami żądnych krwawego widoku ludzi. Na arenę wpuszczają byka, a przeciw niemu stają do walki toreadorzy konni i piesi. Konni uzbrojeni są dzirytami, które wbijają w szyję byka, piesi zaś mają czerwone zasłony do drażnienia zwierza, oraz szpady.

Aby zostać toreadorem, przechodzi się przez straszną próbę. Na środku areny ustawiają lekki, drewniany słup, a młody adept staje na nim w białym stroju toreadora udając posąg. Byk puszczony, z całą wściekłością rzuca się na białe widziadło, które mu w drodze staje, widząc jednak jego nieruchomość, zawraca i nie ponawia ataku. Przetrwać jednak tę chwilę, kiedy rozszalały byk pędzi ku młodemu toreadorowi i gdy grozi mu prawie napewno nieuchronna śmierć, w razie, gdyby się ruszył, jest rzeczą, wymagającą stalowych nerwów. Często też kandydat nie potrafi przetrwać tej próby.

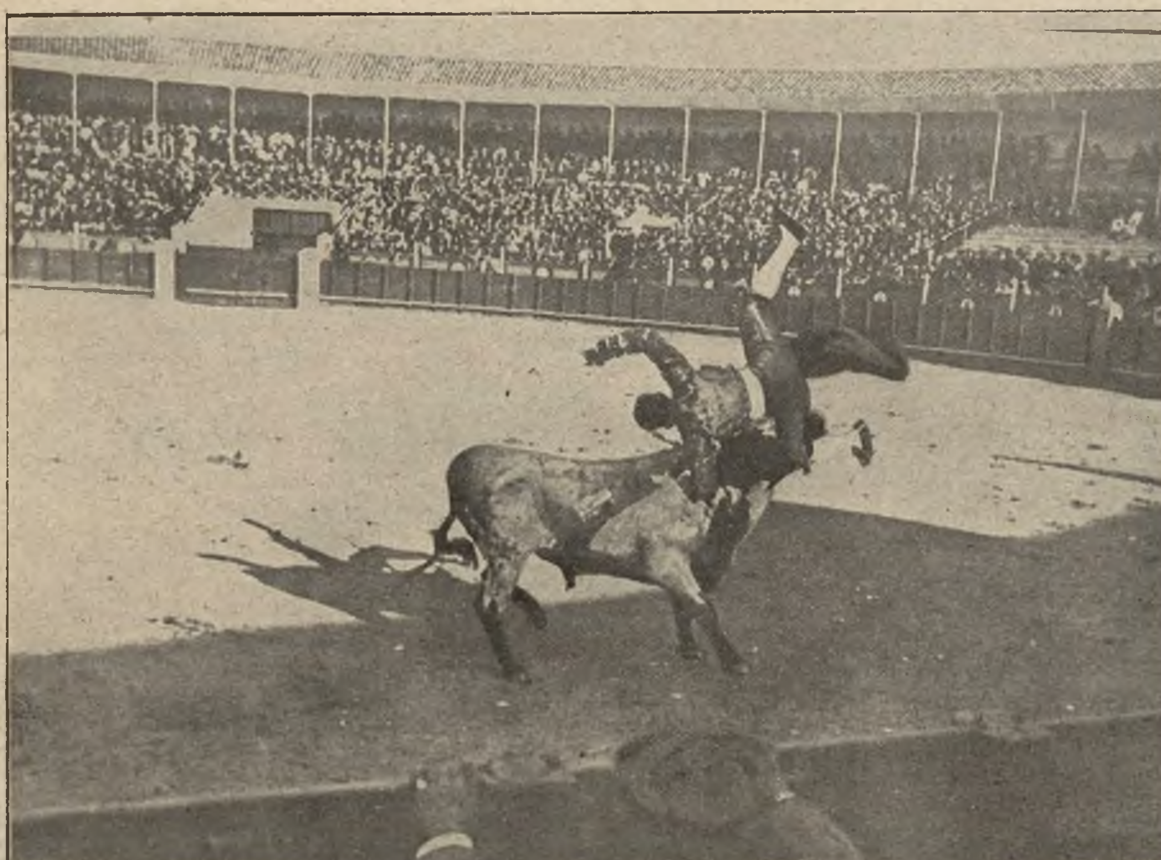
Kto jednak okazał swą niewzruszoną odwagę, zostaje potem toreadorem i występuje w szrankach. Walka trwa nieraz bardzo długo, w szyi byka tkwi często po kilka dzirytów, a kiedy byk zaczyna już słabnąć, występuje zazwyczaj jeden z najśmielszych toreadorów w szranki pieszo, tylko ze szpadą w ręku i zręcznem pchnięciem wali zwierzę z nóg.

Sława, jakiej zażywa w całym kraju, jest mu jedyną prawie nagrodą za swą olbrzymią odwagę. Często jednak zdarza się, iż rozszalałe zwierzę dopadnie mniej zręcznie uchodzącego toreadora; jedno pchnięcie strasznych rogów, a biedak leży z rozprutym brzuchem lub zgniecioną piersią na piasku areny.



W powietrzu i na wodzie: Angielski hydroaeroplan wojenny. (Do artykułu na str. 10).

Nieraz byk, złapawszy swą ofiarę na rogi, wyrzuca ją wysoko w powietrze, a następnie tratuje nogami. W walce ginie także wiele koni, którym zwykle byki rozpruwają brzuch.



Walka byków w Madrycie: Rozjuszony byk chwyta na rogi torreadora.

Gdy byk zwyciężony padnie, zajeżdża wózek, zaprzężony w dwa konie, wywleka byka z areny. Służba zagrabia piasek, a po chwili krwawa walka rozpoczyna się na nowo.

Walki te trwają nieraz przez kilkanaście dni, a Hiszpanie z entuzyazmem biorą w nich udział.

Illustracya nasza przedstawia scenę z tych walk.

Początek końca.

Turcya stoi nad przepaścią. Z jednej strony zaczyna gnębić ją wróg zewnętrzny — Włochy, które mimo klęsk, jakie ponoszą, przecież trzymają cały kraj w naprężeniu i wyczerpaniu, z drugiej strony zaś wewnątrz kraju podnosi głowę anarchia. Sprawa albańska stała się miną, która gotowa rozsadzić Turcyę i sprowadzić kataklizmy zgoła nieoczekiwane.

Młodoturcy, którzy dotychczas trzymali ster rządów w swych rękach, zaczynają tracić wpływ w państwie. Głównie podkopuje ich szowinistyczne stanowisko wobec Albańczyków. Po uśmierzeniu powstania albańskiego obiecano im swobodę religijną i narodową. Rząd młodoturecki nie dotrzymał przyrzeczeń, wskutek czego oficerowie pochodzenia albańskiego utworzyli spisek wojskowy, w Albanii zaś rozpoczyna się powstanie na nowo. Główne ostrze akcyi skierowane zostało przeciw prezesowi ministrów i ministrowi wojny Mahmudowi Szewket-paszy. „Liga oficerów" zażądała ich ustąpienia, a rząd turecki musiał uledz temu wojskowemu terorowi.

Ostatecznie wobec wzburzenia i groźby powstania wojskowego, obecny gabinet ustąpił, a misyę



Początek końca: Mahmud Szefket-pasza, b. turecki minister wojny.

utworzenia nowego gabietu powierzył sułtan już nie młodoturkowi, ale przyjacielowi Anglii, prezydentowi senatu, Gazi Achmedowi Mukdarze-paszy, popieranemu przez Albańczyków.

Młodoturcy bronią jednak zaciekle swych wpływów i wobec tego grozi Turcyi wewnętrzna wojna, co byłoby rychłym początkiem końca państwa ottomańskiego.



Jubileusz 25-letniej pracy: Jubileuszowy bankiet na cześć szefa krakowskiej sekcyi telefonów i telegrafów, komisarza Kazimierza Dutczyńskiego.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

27)

— I czy godziło się zdać tak człowieka na poniewierkę? Jak tylko przyszedł od pana, już niem trzęsło. Kilka groszy, co mu pan dał, nie uratuje go, jemu trzeba opieki, wygody... a czy mnie stać na to? czy ja jego krewna? znajoma?

— Właśnie przyszedłem, aby się nim zaopiekować. Gdzie on?

Odsunęła garnki z ognia, otarła ręce o brudny fartuch i poprowadziła Romana przez sionkę do małej izdebki, wilgotnej, oświetlonej jednem okienkiem z brudnemi szybami. Wśród różnych gratów, połamanych łóżek, kawałków desek, stał pod ścianą tapczan z cienkim siennikiem, a na nim przykryty jakąś kołdrą w łachmanach i paltotem leżał Tomasz z wypiekami na zapadniętych policzkach, z oczyma błyszczącemi gorączkowo. Poznał jednak Romana, bo na ustach zawisł rodzaj uśmiechu i nieco się wygładziło pomarszczone czoło.

— Co wam, Tomaszu?

— Kłuje w boku, ledwie dyszę, pewnie umrę.

— Tak źle nie będzie, — pocieszał go Roman, — przyjechałem was zabrać. W szpitalu będziecie mieli lepszą opiekę i wygodę.

— Co też pan mówi! — zawołała gospodyni, — niech Bóg broni do szpitala! umrze napewno. Lepiej go tu zostawić u mnie, a będzie pan płacił, znajdzie się opieka i wygoda.

— Nie, proszę pani, — powiedział Roman stanowczo, — chory potrzebuje czystego powietrza, porady lekarskiej, opieki w nocy, a pani mimo dobrych chęci tego dać mu nie może.

— Ano, jeśli taka wola pańska, a chory się zgodzi na te męki szpitalne, to niech go pan bierze. A ja panu powiadam, że w szpitalu gorzej więzienia.

Mimo tej opozycyi gospodyni, Roman pomógł Tomaszowi ubrać się i poprowadził go do dorożki, oczekującej przed domem.

Zajechali do szpitala, budynku obszernego, jednopiętrowego, z posępnym wyglądem.

Przyjął ich w sieniach portyer i spytał Romana obojętnie z miną poważną:

— Czy pan z chorym do szpitala?

— Jak pan widzi.

— Co jemu brakuje?

— Nie wiem, doktor powie.

— Idź pan do poczekalni, — wskazał na otwarte drzwi.

Roman, podtrzymując słaniającego się Tomasza, wszedł do wązkiego przedpokoju, gdzie siedząc na ławach drewnianych czekali swej kolei chorzy. Twarze zmęczone, zbolałe, miały wyraz głuchej obawy i niepokoju, i oczy wszystkich zwracały się na dalsze drzwi, przez które wychodzili chorzy po oględzinach lekarskich.

Przyszła wreszcie kolej na Tomasza i doktor zakwalifikował go do przyjęcia na oddział chorób wewnętrznych.

Mimo swego ciężkiego stanu, Tomasz musiał poddać się porządkowi biurokratycznemu i złożyć zeznania przed protokulantem, który z miną dygnitarską spytał najprzód chorego, stojącego przed nim, o nazwisko.

Roman, widząc, że Tomasz gorączkuje, wyręczył go w odpowiedziach, a jakkolwiek w banalnych pytaniach urzędnika nie było nic przykrego, cała ta niewczesna indagacya męczyła chorego i drażniła Romana.

Ale i to minęło. Tomasz otrzymał kartkę, a Roman nie widząc żadnego posługacza, sam poprowadził chorego do portyera, który wskazał im drogę.

Przez wielkie drzwi weszli na otwartą galeryę arkadową, z posadzką kamienną, a że dzień był chłodny i wietrzny, rozgorączkowany Tomasz dostał dreszczów i dygotał z zimna. Po schodach zeszli do jasnego kurytarza, ozdobionego obrazami świętymi i tu dopiero spotkał Roman jakiegoś posługacza, który zawiadomił dyżurującego doktora o przybyciu chorego.

Doktor, młody blondyn, z twarzą przemęczoną, przeczytał kartkę, wziętą od Tomasza i z miną niezadowoloną i skłopotaną zwrócił się do posługacza:

— Gdzie go pomieścimy?

— Nie wiem, panie doktorze, już i tak na sali jest przepełnienie. Niema miejsca.

Doktor, widząc dostatnio ubranego Romana, zwrócił się do niego:

— Czy nie mógłby pan umieścić chorego gdzieindziej? Mamy za wiele chorych.

— Nie, panie, on jest tu obcy.

— Proszę pana, sala mieści dziewiętnaście łóżek, a mamy dwudziestu trzech chorych. Gdzie go podzieję?

— Nie znam Krakowa, panie doktorze, a jego mieszkanie, z którego przywiozłem go, jest zabójcze dla chorego.

— Idźcie do siostry Magdaleny, — rozporządził doktor posługaczowi, — trzeba przygotować siennik i pościel. Niech pan tu z chorym zaczeka, — zwrócił się do Romana.

— Panie doktorze, zanim łóżko przygotują, możeby chory wykąpał się... leżał w takich brudach...

Doktor, który odchodził, przystanął i rzekł z goryczą:

— Widać, że pan obcy: u nas w szpitalu uznano kąpiel i łazienki za rzecz zbytkowną i niepotrzebną.

— To niemożliwe.

— A jednak tak jest. Jeszcze ten pański chory, — patrzał na Tomasza, — jest względnie czysty, ma krótkie włosy, a iluż tu zjawia się chorych lepkich od brudu, owrzodzonych, zawszonych i niema sposobu wykąpać ich. Zaledwie jest jeden cebrzyk na sali, w którym mogą opłukać ręce i oczy.

Doktor odszedł, a po chwili wysunęli się z dwóch sal przyległych rekonwalescenci, otuleni brudnemi, połatanemi, płóciennemi kapotami. Na bladych, niemal przezroczystych twarzach odbiło się zaciekawienie i pilnie przypatrywali się nowemu choremu, rozmawiając z cicha ze sobą.

Z głębi kurytarza, z zakrętu, dały się słyszeć suwające kroki i w tej chwili rekonwalescenci rozstąpili się, umilkli i przybrali wyraz szacunku i oczekiwania. Ukazała się zakonnica w habicie, w wielkim białym czepcu na głowie, ze zwieszającym się od paska różańcem, spojrzała badawczo w kurytarz i zwolna się zbliżyła.

Wszyscy obecni podchodzili do przechodzącej i całowali z pokorną miną jej białą rękę, co ona przyjmowała ze stereotypowym uśmiechem dobroci, a gdy zbliżyła się do Romana, przystanęła i spytała tonem urzędowym:

— Czy to jest ten nowy chory?

— Tak jest.

Spojrzała na twarz Tomasza i rzekła:

— Czy katolik?

— Tak jest.

— Siennik zaraz przyniosą, — zapewniła i weszła do sali.

Po pewnym czasie przyszedł służący i zaprowadził Tomasza do sali, a na pytanie Romana:

— Czy mogę zobaczyć, jak będzie umieszczony? odpowiedział szorstko:

— Jutro, pomiędzy trzecią a czwartą.

Z uczuciem przygnębienia i smutku wychodził Roman ze szpitala i dopiero na ulicy poczuł ulgę, że umieścił Tomasza. Spojrzał na zegarek. Był to czas obiadowy u Stokłosów i mógł być pewnym, że go zastanie.

Przyszedł do nich w chwili, gdy służąca wniosła kawę czarną. Zaproszony do stołu opowiedział pokrótce spotkanie z Tomaszem, jego chorobę i umieszczenie w szpitalu. Wreszcie z pewnym niepokojem spytał Stokłosa:

— Czy mówił pan z panem Filarkiem?

— Właśnie mąż opowiadał mi o tem, gdy pan wchodził do nas. Sercowa sprawa pana znajduje się, jak mi się zdaje, na dobrej drodze.

— Nie uprzedzaj, niech pan Roman sam osądzi.

— Słucham.

— Pan Filarek nic nie ma do zarzucenia charakterowi i usposobieniu pana, chętnie oddałby córkę, jednak waha się.

— W czem? jak? — spytał żywo Roman.

— Jego zdaniem, pozycya materyalna pana nie jest dość pewna, a on chciałby widzieć córkę ubezpieczoną we wszelkich przypadkach.

— O cóż mu idzie?

— Mówił, że gdyby pan prowadził samodzielnie jakiś interes, lub był w rządowej fabryce, wreszcie w akcyjnej, byłby pewniejszy o przyszłość swojej córki.

— Ależ proszę pana, ja posiadam o wiele pewniejszą przyszłość, aniżeli człowiek pozostający w urzędzie, który zależny jest pod każdym względem od swoich przełożonych. Gdyby jaki urzędnik znalazł się w położeniu takiem jak ja, wydalony z kraju, wyrwany ze stosunków normalnych, czy znalazłby jaką posadę, czy wyżywiłby rodzinę?

— Mówiłem mu o tem, panie Romanie, i zapewniałem go, że posada w banku lub fabryce jest równie dobra jak i pensya urzędnika, że wreszcie pan prędzej czy później dojdzie do własnego interesu.

— Cóż on na to?

— Uznał wreszcie, że mam słuszność, ale żąda jeszcze zwłoki, ażeby lepiej poznać finansowe zdolności pana.

Roman siedział chmurny i rzekł gniewnie:

— Zatem pan Filarek, krótko mówiąc, odmawia mi ręki swej córki.

— Nie bądźże pan tak gorąco kąpany, — zaśmiała się Stokłosowa, — pozwól pan ojcu być troskliwym o przyszłość córki. W zasadzie, pan Filarek nie jest panu przeciwny, wolno panu starać się o względy panny i posłuchaj pan mojej życzliwej rady.

— Jakiej?

— Niech się pan porozumie z Manią, ona sama nastroi ojca przychylnie i za jaki miesiąc, dwa, poprosi pan nas na wesele.

— Pójdę za radą pani... ale niech mi pan powie szczerze, — zwrócił się do Stokłosa, — czy poza tą błahą wymówką o pewności pozycyi nie kryje się co innego u pana Filarka?

— Prawdę mówiąc, mam tego starego w pewnem podejrzeniu. Butrinek wszedł panu w drogę. Prawda, że to starszy człowiek, wdowiec, ma dziecko, ale zdaje mi się, że panna mu sprzyja, bo coś jest zanadto pewny siebie.

Romanowi tak zabawnem wydało się to przypuszczenie, że zaśmiał się głośno mówiąc:

— Pod tym względem pan się myli, panna Marya czuje wprost antypatyę do niego, on ją nudzi, męczy swą rozmową i niemal odchorowuje ona każdą jego bytność, bo to gruby i głupi człowiek.

— Ona to panu mówiła? — spytał trochę zdziwiony.

— I ile razy! — uśmiechnął się Roman, — a ponieważ i ja go nie znoszę, z czem się na kryję, więc panna Marya zawsze mnie uprzedza o wizycie Butrinka, tak, że od pewnego czasu spotykamy się tylko wówczas, gdy jest liczniejsze zebranie u państwa Filarków.

— Mania i przedemną skarżyła się na pana Butrinka, — dodała Stokłosowa.

— No, no, to dziwne! — kręcił głową Stokłos. — Prawda, że ten Butrinek prochu nie wynalazł, ale żeby był tak głupi, nie myślałem.

— Albo co? — spytała żona.

— Spotkałem go przed kilku dniami na piwie w dość licznem towarzystwie i on, gdy zgadało się coś o małżeństwie, skarżył się, że od chwili pogrzebu żony nie ma spokoju, tak go swatają i stręczą mu panny. Ktoś wspomniał, nie z nazwiska, ale jak to mówią: *durch die Blume*, o Filarkównych i jego staraniu się. Powiedział z uśmiechem, że dość, aby wyciągnął rękę, a za trzy tygodnie może być szczęśliwym mężem tej panny, ale on się nie spieszy.

— To bezczelna zarozumiałość! — zawołał zaczerwieniony Roman, — panna Marya nigdy nie pójdzie za tego umundurowanego bałwana.

— No, zapewne, pan wie o tem lepiej, — powiedział Stokłos obojętnie.

— Nietylko wiem, ale jestem tego pewny, bo słyszałem to z własnych ust panny Maryi. Dziękuje panu bardzo serdecznie za łaskawe pośrednictwo, — wstał i podał rękę gospodarzowi.

— Oby się tylko na co przydało.

— Panie Romanie, — powiedziała Stokłosowa, — niech pan posłucha mojej rady, nie spiesz się pan, bo co nagle, to po dyable. Niech się pan porozumie z Manią, postara się o względy cioci, a wszystko będzie jak najlepiej.

Roman, pewny wzajemności Mani, po rozmyśle przyjął zastrzeżenie jej ojca dość obojętnie, a dostrzegłszy na rynku Stasię i ciotkę, pospieszył do mieszkania Filarków, pragnąc rozmówić się z ukochaną sam na sam.

Zastał ją istotnie w domu i po pewnem wahaniu przyjęła go w małym gabinecie, ubrana w szlafroczek jasny, z włosami niedbale upiętemi z powodu bolu głowy, który zatrzymał ją w domu.

— Tak mi się czas dłużył, tak dawno nie widziałem ciebie, — całował jej ręce.

— A dla mnie ten czas minął jak jedna chwila, bo myślałam tylko o tobie.

— Jesteś zachwycająca ze swoją szczerością... moja najmilsza, czy był tu pan Butrinek?

Spojrzała mu w oczy i spytała ozchle:

— Skąd to pytanie?

— Byłem dzisiaj u państwa Stokłosów w wiadomej ci sprawie.

— Czy on mówił z ojcem? — zaniepokoiła się.

— Tak jest, i ojciec twój stawia trudności w naszem połączeniu.

— Zapewne co do materyalnych warunków, ale ty wiesz Romciu, że mnie to nic, a nic nie obchodzi i nie lubię myśleć i mówić o takich nizkich rze-

czach. Zostawiam to ojcu, wreszcie ciotce, niech oni myślą o tem.

— Ja cię rozumiem i cenię to w tobie, — ściskał ją, — ty jesteś piękna, za idealna, ażeby dotykać się tak poziomych spraw. Sądzę, że najlepiej zrobię, gdy pomówię z ciocią, ażeby ona wyrozumiała, czego właściwie chce ojciec twój odemnie. Gotów jestem do wszelkich ustępstw, zgodzę się na wszystkie warunki.

— Tak mnie kochasz? — przytuliła się do niego i miłośnie patrzała mu w oczy.

Przez jakiś czas milczeli. Wtem posłyszeli krzątającą się w drugim pokoju służącą, szybko odsunęli się od siebie i Roman powtórnie spytał:

— Czy był wczoraj Butrinek u was?

— Co ci na tem zależy? wiesz przecież, że cię kocham, a on mi jest tak obojętny, tak daleki mej duszy...

— Ja to wiem i tembardziej oburza mnie jego bezczelność w stosunku do ciebie.

— Co ty mówisz? jaka bezczelność? — zawołała zdziwiona.

— Ten pan, w knajpie, w licznem towarzystwie powiedział, że tylko od jego kilku słów zależy, ażebyś została jego żoną w ciągu trzech tygodni, czyli po wyjściu zapowiedzi.

— Głupiec! — zawołała pogardliwie.

— To mało! pociągnę go do odpowiedzialności. Nie mogę pozwolić, aby o mojej przyszłej żonie jakiś pan Butrinek rozmawiał w knajpie w sposób jej ubliżający.

— Romciu, nie rób tego! — prosiła, — ja nie chcę pojedynku, możesz zginąć, może cię zranić, nie, nie, nie chcę tego! — zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

— Uspokój się Maniu, ten pan nie przyjmie pojedynku. Ileż razy dokuczałem mu do żywego, a on wszystko znosi spokojnie.

— Ależ Romciu, — prosiła go, — to zaszkodziłoby mojej opinii, on mnie obniesie po całem mieście, zaczną się plotki, podejrzenia... Jeśli mnie kochasz, nie będziesz rozmawiał z Butrinkiem, chyba w mej obecności. Powiedz, że dobrze, — całowała go, — ja się tak boję o ciebie.

— Posłucham cię, ale ty nawzajem rozmów się z ojcem, i jestem pewny, że gdy mu powiesz otwarcie o swych uczuciach dla mnie, on napewno się zgodzi, i będziemy tacy szczęśliwi! Ja nie chcę żadnego posagu, będę dumny, gdy ciebie wystroję jak królewnę, gdy obsypię cię kwiatami, zadowolę każdy twój kaprys.

— Dobrze, już dobrze, — odsuwała go zaniepokojona, — ale już idź.

— Kiedy się zobaczymy? — wstał niechętnie z kozetki, na której oboje dotychczas siedzieli.

— Przyjdź w niedzielę, ale o czwartej, bo wieczorem wychodzimy.

— Tak długo mam czekać, — nachmurzył się, — całe trzy dni.

— Nie można wcześniej... muszę pogadać z ojcem... no, idź!

XXI.

Zarząd szpitala pozwalał na odwiedzanie chorych pomiędzy godziną trzecią a czwartą, co Romanowi, zajętemu w fabryce, uniemożliwiało dowiadywanie się o chorego Tomasza.

Irena ofiarowała się sama pójść do szpitala odwiedzić chorego. W pierwszym dniu oświadczył jej dyżurujący doktor, że Tomasz Ryś leży w silnej gorączce, majaczy i nie pozna jej wcale. Dopiero czwartego dnia wpuszczono Irenę na salę ogólną.

Zaraz u wstępu owionął ją zaduch gorączki, lekarstw, potu ludzkiego i ujrzała cały szereg łóżek, stojących niemal tuż przy sobie, a prócz tego, na jedynem wolnem miejscu środkowem ułożone były na podłodze sienniki i na jednym z nich leżał Tomasz.

Poznał ją, jak widziała ze spojrzenia i poruszył ustami, z których nie wydobył się żaden dźwięk wyraźny.

Zbliżyła się do niego, stając na wąziutkiem przejściu pomiędzy dwoma siennikami, nachyliła się i posłyszała szept jego:

— Panienka dobra.

— Jak się czujecie? lżej wam?

— Co ma być lżej, — odezwał się jego chory sąsiad, — nie miałem spokoju przez dwa dni, charczy i pluje.

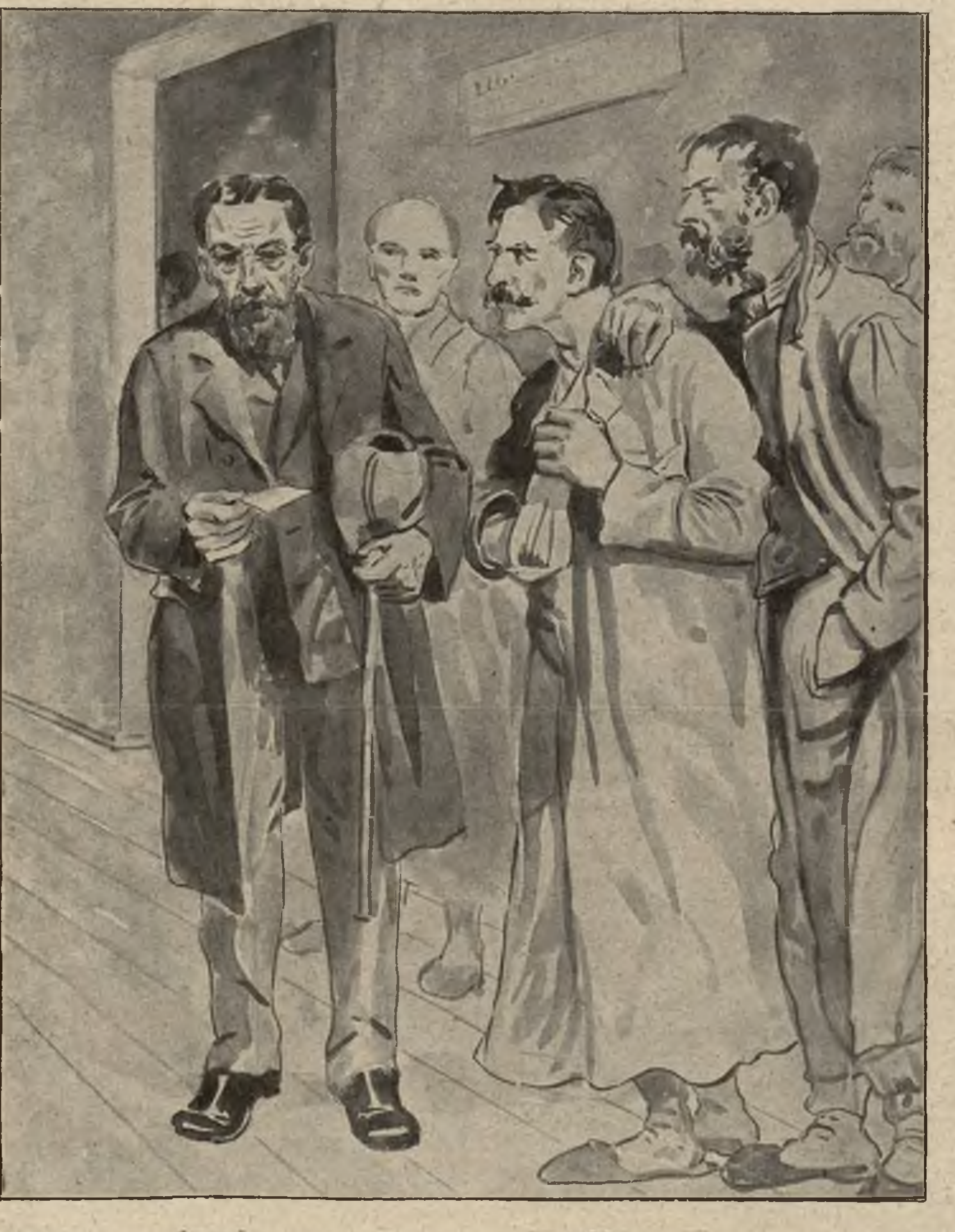
W słowach tych słyszała Irena nietylko skargę, ale i rozdrażnienie chorego, który był zmuszony niemal ocierać się o Tomasza i odczuwał każde jego poruszenie i gorący oddech.

— Tomaszu, — spytała współczującym, cichym głosem, — może czego wam potrzeba?

— Pić!

Obejrzała się wokoło i na razie nie dostrzegła ani dzbanka, ani szklanki i dopiero na jej prośby posługacz szpitalny, a zarazem dozorca sali, człowiek starszy, z twarzą wygoloną, lisią, z przymuszonym uśmiechem dobroci przyniósł w blaszanym kubku wodę i podał choremu.

Tomasz orzeźwiał po wypiciu i rzekł do nachylonej nad nim Ireny:



Na bladych, niemal przezroczystych twarzach odbiło się zaciekawienie i pilnie przypatrywali się nowemu choremu

— Zle mi tu.

— Nie obrażałbyś Pana Boga, — zgromił go dozorca i na jego twarzy wychudzonej, pomarszczonej, widać było gniewną surowość.

Dostrzegł to Tomasz i powiedział szybko z wysiłkiem do dozorcy:

— Darujcie ojcze, ja mówiłem tylko o chorobie.

— Z ręki boskiej wszystko należy pokornie i cierpliwie przyjąć, — nauczał go tonem księdza, — Pan Bóg zsyła chorobę, ażeby duszę zbawić.

— Ja to wiem, — westchnął, a gdy dozorca oddalił się, Tomasz prosił Irenę:

— Zostań pani chwilę, to tak miło widzieć kogoś ze świata.

Nie podobała się ta poufna rozmowa dozorcy i zawołał rozkazująco:

— Nie gadaj! nie wolno! — i pod adresem Ireny: — I czego tu przychodzą dla ciekawości?

Zrozumiała Irena aluzyę i wsunęła w brudną, pomarszczoną rękę dozorcy kilka drobnych monet, co podziałało tak skutecznie, że wskazał jej niezajęte krzesło przy stoliku doktorskim i mówił z udanem współczuciem o Tomaszu:

— Taki to biedak, mieliśmy z nim dużo kłopotu... ledwo odratowaliśmy. A pani krewna jego, czy znajoma?

— Znajoma.

— Widać, że on z lepszej familii, gdy go taka godna osoba odwiedza, — a widząc przychodzących w odwiedziny, pospieszył do nich.

Panujący tu zaduch przyprawiał Irenę o mdłości. Rozejrzała się po sali dość wysokiej, widnej, ale nadmiernie przepełnionej chorymi. Nad każdem łóżkiem wisiała tabliczka drewniana, gruba, poczerniona, na której białemi literami było wypisane nazwisko chorego i rodzaj choroby.

Z każdego łóżka, z każdego kąta wyzierała tu niemoc i nędza ludzka. Na twardych siennikach pod lichem przykryciem, na marnych poduszkach, rysowały się żółtawe, blade, wymizerowane twarze chorych. Od czasu do czasu odzywały się stękania, jęki, rzadziej urwany płacz młodych chłopców. Podłoga z miękkiego drzewa, brudna, zaplwana, zabłocona, urągała wszelkim pojęciom czystości i hygieny, i zdziwiło to Irenę, że nie dostrzegła żadnych wentylatorów ani lamp.

W tej chwili do sali weszła w habicie siostra miłosierdzia. Posługacz, wyglądający na emerytowanego księdza, z pokorą i miną słodkiej pobożności na lisiej twarzy, podreptał szybko ku zakonnicy i całując jej rękę i rękaw, mówił:

— Dobrodziejko nasza najłaskawsza, wszystko w porządku, tylko ten chory, — wskazał na łóżko w rogu, — grymasi, jeść nie chce i klnie, że aż grzech słuchać.

Zakonnica zdawała się nie słyszeć tych słów i badawczo spojrzała po sali, gdzie było około dziesięciu obcych osób przybyłych w odwiedziny, a wśród nich wyróżniała się ubraniem i postawą Irena, do której zwolna się zbliżyła.

Z chwilą wejścia zakonnicy, chorzy natychmiast się uciszyli, starali się ułożyć w łóżku jaknajprzykładniej i patrzali ku niej z szacunkiem, pomieszanym z obawą. Również i osoby odwiedzające, należące do klas uboższych, przybrały postawę układną, gotową do ukłonu i ucałowania ręki. Czuć było w całej sali, że weszła tu osoba, mająca wielki wpływ i znaczenie.

Irena uległa również temu nastrojowi i przy zbliżeniu się zakonnicy wstała z krzesła.

— Niech będzie pochwalony! — powiedziała głośno zakonnica.

— Na wieki, — odszepnęła Irena.

— Pani tu do kogo?

Zanim Irena zdążyła odpowiedzieć, pospieszył posługacz, trzymający się w pobliżu:

— Dobrodziejko najlepsza, a to do tego, — wskazał ręką na siennik, — on Królewiak, nie ma ani krzyżyka, ani szkaplerza, jak żyd albo poganin.

Zakonnica sięgnęła ręką do kieszeni habitu wyjęła medalik i wręczając posługaczowi, rozkazała:

— Zawieś mu na szyi... Czy pani krewna jego?

— Nie.

— Więc znajoma?

— Tak jest.

— Przyjęliśmy go na salę, chociaż, jak pani widzi, jest przepełnienie. Mamy za dużo chorych. Mnożą się choroby i nieszczęścia, — westchnęła, — Pan Bóg karze nas za grzechy nasze.

Wzięła ze stołu arkusz papieru, na którym zanotowane były rozporządzenia lekarskie co do chorych i przeglądając je, spytała posługacza obojętnym głosem:

— Czy dano lekarstwa... — wymieniła trzech chorych.

— Tak jest, dobrodziejko, sam byłem przy tem i pomagałem.

— Pani tutejsza? — zwróciła się do Ireny.

— Nie, z Królestwa.

— To tak jak on, — spojrzała w stronę leżącego Tomasza. — Jakże się pani podobał nasz szpital? — spytała w oczekiwaniu przyjemnej odpowiedzi.

— Zbyt wielki zaduch.

— Jak zwykle, przy chorych. Nie otwieramy okien dzisiaj, bo dzień wietrzny i zimny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon wybitnego polityka.

Z grona pracowników na niwie społecznej i politycznej, którzy w obywatelskiem życiu Galicyi wybitną odgrywają rolę, śmierć zabrała znowu zasłużonego działacza. Przed kilku dniami zmarł mianowicie we Lwowie b. poseł i radny miasta, dyrektor gimnazyum Franciszka Józefa, dr. Franciszek Tomaszewski.

Zmarły urodził się w r. 1852 w Brzeżanach. Studya kończył we Lwowie i Wiedniu. W r. 1876 objął posadę nauczycielską w gimnazyum im. Franciszka Józefa we Lwowie. Następnie przeniesiony do Krakowa, przez 17 lat pracował w gimnazyum św. Anny, a w r. 1895 został dyrektorem gimnazyum w Samborze. Ciesząc się zaufaniem obywateli,



Zgon wybitnego polityka: Ś. p. dr. Franciszek Tomaszewski, b. poseł i radny miasta Lwowa.



Zgon wybitnego polityka: Pogrzeb ś. p. dra Franciszka Tomaszewskiego we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

w krótkim czasie został radnym miejskim, a następnie w r. 1901 posłem na Sejm kraj. z Sambora. W r. 1904 objął kierownictwo gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie i tu odrazu zajął wybitne stanowisko polityczne.

W krótkim czasie uzyskał mandat do rady miejskiej, oraz mandat parlamentarny w r. 1907.

S. p. dr. Tomaszewski przez długie lata był także prezesem Tow. pedagogicznego.

Doskonały mowca i dobry polityk, specyalny znawca spraw szkolnych i ruskich, odznaczył się owocną pracą na obu tych polach. To też pogrzeb jego dowodnie świadczył o szacunku, jakim go otaczano.

W kondukcie pogrzebowym znaleźli się prawie wszyscy posłowie koledzy, członkowie Wydziału krajowego, rada miasta Lwowa, przedstawiciele różnych Towarzystw oświatowych i pedagogicznych.

Modły nad grobem odprawił ks. biskup Bandurski, poczem żegnali zmarłego dr. Głąbiński, katecheta, ks. Janik, wiceprezydent miasta, dr. Stahl i wiceprezes Towarzystwa pedagogicznego, Polaczek. Zarząd Towarzystwa pedagogicznego na nadzwyczajnem posiedzeniu uczcił zasługi zmarłego.



Nowocześni bohaterowie olimpijscy: Zwycięzcy w biegu maratońskim: K. Mac Arthur, zdobywca pierwszej nagrody (po prawej stronie) i C. W. Gitsham (2 nagroda).

Nowocześni bohaterowie olimpijscy.

Pierwsze miejsce w programie igrzysk olimpijskich zajmuje bezsprzecznie tak zwany bieg maratoński, który też budzi największe zainteresowanie w kołach sportowych.

O godzinie wpół do drugiej, w dzień skwarny i pogodny, gdy nawet najlżejsze tchnienie wiatru nie przynosi ochłody, gromadzi się trzydziestotysięczny tłum widzów, a współzawodnicy w liczbie sześćdziesięciu ośmiu szeregują się wedle numerów porządkowych u startu. Należą oni ogółem do dziewiętnastu narodowości.

Po ukończeniu czynności przygotowawczych, o czem zawiadomiło donośne gwizdnięcie, głośny huk strzału pistoletowego oznajmia rozpoczęcie biegu, który się ma rozegrać na przestrzeni 40 klm.

Wśród donośnych okrzyków w najrozmaitszych językach, przypominających biblijną wieżę Babel, współzawodnicy ruszają z miejsca, przebiegają przez arenę i południową bramą stadyonu wypadają na drogę, pokrytą grubą warstwą pyłu, który w wysokim stopniu utrudnia bieg.

Z obu stron gościńca stoi co sto metrów żołnierz z karabinem w ręku i nie puszcza nikogo na drogę, żywy mur od stadyonu aż do mety tworzy zbity tłum ciekawych. W każdym przydrożnym domu urządzono stacyę dla orzeźwiania uczestników biegu, wszędzie mają dla nich wodę, mleko, cytryny i mokre chusty.

Początkowo wybija się na przód Finlandczyk



Nowocześni bohaterowie olimpijscy: Finlandczyk Taipale, zdobywca I-ej nagrody w rzucaniu dyskiem.

Kolehmainen, za nim biegną Włoch, Speroni, jako trzeci szybkobieg francuski, Boissiere.

Już w odległości piętnastu kilometrów od startu dwaj ostatni zdystansowani zostają przez Afrykańczyków południowych: Mac Arthura i Gitshama, których Kolehmainen na stacyi kontrolnej wyprzedził tylko o pół minuty.

Do punktu zwrotnego, o dwadzieścia kilometrów od stadyonu, przybywa pierwszy Gitsham, w ćwierć minuty po nim Kolehmainen, w dalsze dwadzieścia sekund po nim Mac Arthur.

Wszyscy trzej, nie rzuciwszy nawet okiem na przygotowane dla nich środki orzeźwiające, rozpoczynają powrót. W ciągu najbliższych kilku kilometrów rozstrzygnie się, kto będzie zwycięzcą.

Wreszcie Kolehmainen pada wyczerpany, pomiędzy obu Afrykańczykami rozgrywa się walka o pierwszeństwo.

Tymczasem na trybunach wzmaga się zniecierpliwienie w miarę nadchodzących ze stacyi wiadomości telefonicznych.

Nagle rozlega się donośny głos trąbki, po chwili

ukazują się ciemno-zielone barwy Afrykańczyka. Z oznakami ogromnego zmęczenia, wśród entuzyastycznych okrzyków i oklasków publiczności Mac Arthur okrąża arenę, przerywa taśmę u mety i pada i szwedzki (2 g. 37 m. 42 sek.). Jako drugi przybył Githam, trzeci Strobino. Ogółem w przepisanym czasie stanęło u mety trzydziestu czterech współzawodników, jako trzydziesty trzeci Austryak Z. przypłacił życiem swe wysiłki, kilkunastu zaraz po biegu odwieziono do szpitala.

Wieczorem odbyła się w stadyonie wspaniała uczta na cześć uczestników i funkcyonaryuszów



Cwiczenia „Czerwonego Krzyża" pod Przemyślem: Transport ciężko rannych. (Fot. M. Todt, Przemyśl)

wyczerpany na ręce towarzyszów... Jeden z członków komisyi zarzuca mu na szyję laurowy wieniec z błękitno-żółtemi wstęgami Szwecyi, lekarze wyprowadzają go z areny.

Wychodzi jak prawdziwy tryumfator.

Mac Arhur odbył bieg w ciągu 2 godzin 36 min. i 45 sek., pobił więc dotychczasowy rekord olimpijski w biegu maratońskim (2 g. 51 m. 23 6 sek.) Rath. Nagrodą zwycięzcy jest złoty medal olimpijski i nagroda honorowa króla szwedzkiego, drugiemu przypada w udziale medal srebrny, trzeciemu bronzowy, dalsi otrzymują dyplomy uznania.

Wszyscy uczestnicy biegu maratońskiego, który odbywał się na drodze o silnych wzniesieniach i podczas trzydziestokilko-stopniowego upału, wzbudzili słuszny podziw. Jeden z nich Portugalczyk Lazaro igrzysk olimpijskirh. Wzięło w niej udział trzy tysiące osób, między niemi i członkowie rodziny królewskiej.



Ostatni pogrzeb starochiński: Lalki imitujące damy dworu na pogrzebie księżny Tsin w Pekinie.

Cwiczenia „Czerwonego Krzyża" pod Przemyślem.

Straszną jest dzisiejsza wojna z jej coraz „doskonalszemi" narzędziami do masowego zabijania ludzi. Geniusz ludzki wciąż wysila się, aby dzieło zniszczenia na wojnie doprowadzić do ostatecznych granic. Gdy współczesna mordercza broń czyni coraz krwawszem żniwo wojenne, tem większem błogosławieństwem staje się dzieło humanitaryzmu, międzynarodowe stowarzyszenie do niesienia pomocy rannym na polu bitwy, t. j. Czerwony Krzyż. Każda armia posiada oddziały Czerwonego Krzyża, które tak samo, jak żołnierze do boju, muszą zaprawić się do tej humanitarnej akcyi podczas wojny.

W tych dniach właśnie odbyły się pod Przemyślem dywizyjne ćwiczenia Czerwonego Krzyża.



Nowocześni bohaterowie olimpijscy: Szwed Lemmirg, zdobywca pierwszej nagrody w rzucaniu oszczepem.

W ćwiczeniach tych brali udział wszyscy lekarze wojskowi garnizonu przemyskiego z generalnym lekarzem sztabowym drem Majewskim na czele. Oprócz tego ćwiczyli się przytem wszyscy wykształceni w udzielaniu pierwszej pomocy na polu bitwy żołnierze wszystkich rozmieszczonych w Przemyślu rodzajów wojsk jakoteż jednoroczni ochotnicy, medycy. Kierownikiem tej całej demonstracyi sanitarnej był lekarz sztabowy Drakolbe. Demonstrowano wszystkie możliwe wypadki na polu bitwy. Była tam stacya

dla lekko rannych i ciężko rannych, stacya dla niezdolnych do dalszego transportu, obóz dla umierających jakoteż miejsce dla zmarłych i zabitych. Przeszło 100 wozów ratunkowych brało udział w tych



Cwiczenia „Czerwonego Krzyża“ w Przemyślu: Przewożenie ciężko rannych na polową stacyę chirugiczną w obecności całego sztabu lekarskiego. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

ćwiczeniach. Oprócz stacyi chirugicznej, gdzie wykonują się operacye niecierpiące zwłoki, były urządzone olbrzymie poczekalnie dla rannych. Podczas ćwiczeń były także czynne wozy Tow. zakonu niemieckich rycerzy, który jest członkiem „Czerwonego Krzyża“ i ma obowiązek dostarczania wozów opatrunkowych i ratunkowych walczącym stronom. Demonstrowano też kuchnie polowe i studnie polowe, za pomocą których można z każdego gruntu otrzymywać wodę dla rannych, do gotowania lub do mycia się przed operacyą i t. d. Cały batalion w wojennym rynsztunku markierował rannych i zabitych.

Ostatni pogrzeb starochiński.

Chiny, jak się zdaje, weszły na trwałą drogę postępu i rozwoju. Rząd republikański zabrał się energicznie do reformowania nie tylko państwa, ale i obyczajów ludności, przesiąkniętych przesądami i ciemnotą. Wśród niezliczonych obrzędów i ceremonii, które stanowiły treść życia każdego Chińczyka, szczególną pompą odznaczały się pogrzeby. Zwłaszcza ceremoniał pogrzebowy członków panującego rodu Mondżu odznaczał się wielu oryginalnemi, a dla Europejczyka śmiesznemi przepisami. Niedawno właśnie odbył się w Pekinie taki pogrzeb, urządzony z przepychem według dawnego ceremoniału mandżursko-chińskiego. Były to ceremonie pogrzebowe nad zwłokami księżnej Tsin, której pogrzeb stał się wielką manifestacyą pozbawionych dziś władzy Mandżurów i wogóle zwolenników dawnego porządku. Zmarłą pochowano w olbrzymiej, niezmiernie ciężkiej trumnie, którą niosło na noszach kilkuset ludzi. Do trumny tej włożono nietylko wszystkie kosztowności księżnej, ale najrozmaitsze przedmioty, których używała w codziennem życiu, więc serwisy, przybory toaletowe i t. p. Według ceremoniału wraz z księżną musi skończyć żywot i cała służba jej dworu. Ten przepis chińskiej ceremonii pogrzebowej nie przedstawia się jednak w rzeczywistości zbyt groźnie i traktowany jest symbolicznie... Mianowicie żywych ludzi zastępują... olbrzymie lalki, które są uroczyście niesione w pochodzie pogrzebowym, a następnie giną w płomieniach na grobie dostojnego nieboszczyka... Tę defiladę pogrzebowych lalek, mających imitować dwór zmarłej w Pekinie księżnej Tsin, przedstawia nasza illustracya.

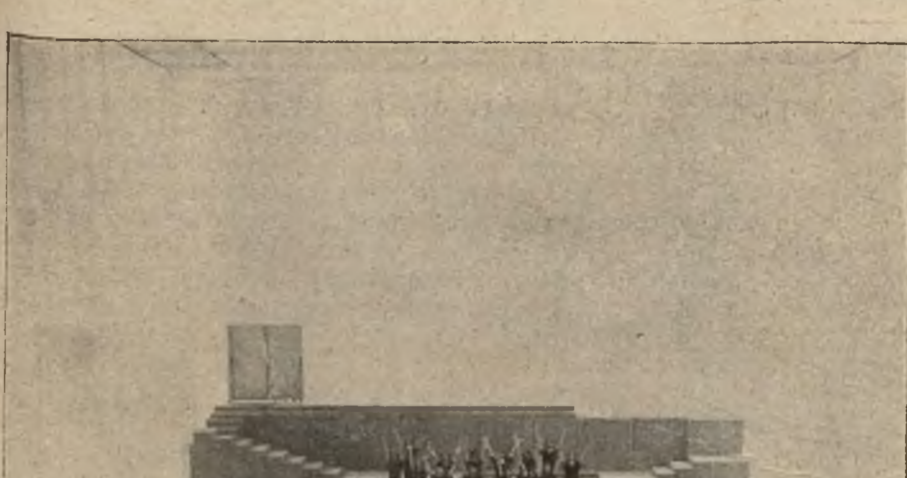
Był to niewątpliwie ostatni pogrzeb według dawnego ceremoniału mandżursko-chińskiego, bo obecnie rząd republikański, zwalczający z całą stanowczością dawne, przestarzałe obyczaje chińskie, zreformował i pogrzeby, zakazując tego rodzaju pogrzebowej parady z lalkami.



Nowocześni bohaterowie olimpijsey: K. Mac. Arthur, zdobywca pierwszej nagrody w biegu maratońskim, po przybyciu do mety.

W imię koleżeństwa.

Wśród wspomnień, które najsilniej się utrwalają i pozostają na całe życie, pierwsze miejsce zajmują wspomnienia z ław szkolnych. Życie wspólne, prowadzone przez szereg lat w szkole, wspólna „dola i niedola“ uczniowska zespala ludzi i zbliża ku sobie, a przyjaźń, zawiązana na ławie szkolnej, staje się nieraz trwałym węzłem na całe życie. To też odnawianie tych wspomnień przez zjazdy koleżeńskie jest zawsze miłą chwilą, która na nowo łączy i zbliża ludzi, przypominając im przeżyte wspólnie lata.



Przybytek gimnastyki rytmicznej: Jedno z najefektowniejszych ćwiczeń, wykonane na popisach.



Nowocześni bohaterowie olimpijscy: Lekarze cucą omdlałego u mety K. Mac. Arthura, zdobywcę pierwszej nagrody w biegu maratońskim.



W imię koleżeństwa: Uczestnicy zjazdu maturzystów w Stryju.

W ostatnich tygodniach odbyły się dwa takie zjazdy koleżeńskie, jeden w Stryju, drugi w Sanoku.

W końcu czerwca zjechali się w Stryju byli uczniowie gimnazyum, którzy w r. 1892 opuścili zakład po zdaniu matury. Zjazd doszedł do skutku staraniem sekretarza skarbu Stan. Iglickiego i dra Chalbazaniego. Z 25 przybyło 11 byłych uczniów. Katalog w sali szkolnej odczytał w zastępstwie dyrektora zakładu ks. Wład. Kotuski. Po mile spędzonych godzinach wspólnej pogawędki i wspomnień, powrócili uczestnicy zjazdu znowu do codziennej pracy.

Drugi zjazd odbył się w pierwszych dniach lipca w Sanoku, a wzięli w nim udział byli uczniowie, którzy przed 15 laty w Sanoku zdawali maturę. Z 31, którzy wtedy opuścili gimnazyum, przybyło na zjazd 17, a 9 usprawiedliwiło swą nieobecność. Uroczyste nabożeństwo odprawił ks. prof. dr. Trznadel, poczem w gmachu szkolnym odbyło się uroczyste „odczytanie katalogu".

W południe odbył się wspólny bankiet, poczem uczestnicy zjazdu zwiedzali miasto, odnawiając znajomość ze znanymi zakątkami i pamiątkami.

Przybytek gimnastyki rytmicznej.

Od lat kilku coraz większy rozgłos w całym świecie zyskuje nazwisko Emila Jaques-Dalcroze'a znakomitego kompozytora i pedagoga szwajcarskiego, który genialnym systemem, wymyślonym przez siebie, a znanym powszechnie pod nazwą „metody rytmicznej Dalcroze'a", wywołał zupełny przewrót w dotychczasowych pojęciach o uczeniu muzyki i wyrabianiu muzykalności. Osią metody jest nader skomplikowany systemat gimnastyki rytmicznej, która każdy walor muzyczny wyobraża plastycznym ruchem, związanym najściślej z rytmem, modulacyą i charakterem danego utworu; równocześnie z gimnastyką idzie wyrabianie słuchu zapomocą nauki solfegiu. System Dalcroze'a, apelujący nietylko do muzyków, ale także do wszystkich, co choć sami nie grają, pragną rozumieć słyszaną muzykę, ma już mnóstwo zwolenników i wytworzył ogromną literaturę we wszystkich językach. Przed dwoma laty zarząd t. zw. „Miasta ogrodowego" Hellerau pod Dreznem dał genialnemu Szwajcarowi możność zrealizowania w jak najszerszej mierze swych pomysłów, oddając mu do dyspozycyi wspaniale zaprojektowany gmach na szkołę i salę popisową. W tym to gmachu odbyły się w tym roku po raz pierwszy w czasie od 28 czerwca do 11 lipca popisowe „uroczystości szkolne", które stały się wypadkiem artystycznym międzynarodowego znaczenia i zgromadziły entuzyastyczne audytoryum, złożone z artystów, muzyków, literatów, dyrektorów teatrów i impressaryów z całego świata.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w Polsce bardzo wcześnie okazano zrozumienie idei Dalcroze'a. Wśród kilkuset uczniów różnych narodowości szkoły w Hellerau, Polacy zajmują liczebnie drugie miejsce. W Warszawie i we Lwowie istnieją kursa metody Dalcroze'a, mające ogromne powodzenie. Za



W imię koleżeństwa: Uczestnicy zjazdu maturzystów w Sanoku.

staraniem dyr. Trzcińskiego, (który był na popisach w Hellerau i udzielił nam fotografii do dzisiejszego nru.) ma w jesieni przybyć do Galicyi sam Dalcroze i wygłosi odczyty połączone z demonstracyami, wykonanemi przez najlepsze uczenice. Gorliwym zwolennikiem Dalcroze'a jest poeta T. Miciński, który w licznych artykułach zapoznawał polską publiczność ze znaczeniem i arkanami metody.



Przybytek gimnastyki rytmicznej: Szkoła i teatr E. Jaques-Dalcroze'a w Hellerau pod Dreznem.

W powietrzu i na wodzie.

Rozwój budowy statków nadpowietrznych zrobił wielki krok naprzód przez to, że aeroplany zostały dostosowane do użytku i na wodzie. Przed kilku miesiącami odbył się w Nicei wielki konkurs lotniczy tych hydro-aeroplanów, obecnie zaś zaczęto stosować je praktycznie do celów wojskowych.

Podczas drugich letnich manewrów floty angielskiej u wybrzeży Anglii, czyniono właśnie praktyczne próby z nowym wynalazkiem, które wydały doskonałe rezultaty.

Komendant Samsons podczas rewii floty angielskiej pod Soutsea odbył lot na hydro-aeroplanie z Sheernes do Portsmouth w 3 godzinach i 14 minutach i stworzył ten nowy rekord światowy w locie na odległość.

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

17)

Tłum. z francuskiego.

— 160 wolt, 110 milamperów, — mruknął rudy człowiek, spoglądając na manometr. — Oto siła toku, która może zabić na miejscu wołu, ważącego 500 kilo, a która dzięki moim transformatorom tak się zmieniła, że sprowadza jedynie spokojny sen. Tok, przerywany sto razy na sekundę, nie traci nic na swej sile. Jeżeli doświadczenie przeciągnie się przez parę minut, serce przestanie bić. I człowiek ten umrze bez najmniejszego bólu, gdyż od pierwszej chwili ośrodki nerwowe mózgu są znieczulone lepiej i dokładniej niż przy pomocy chloroformu.

— Oto, co można nazwać prawdziwą tajemnicą elektryzacyi! Ale — dodał, przerywając szybko tok — nie chcę wcale śmierci tego człowieka. Mogę panu coś lepszego ofiarować, panie Sebastyanie Blanc.

W tej chwili połączył cewki w inny sposób.

Tym razem skutek był nadzwyczajny. Sebastyan zerwał się z krzesła, otworzył obłąkane oczy i odruchowo podniósł do twarzy skurczone ręce. Czuł, że myśli kręcą mu się pod czaszką, jak garść suchych liści na wietrze, nie był w stanie zatrzymać żadnej, wszystkie wymykały mu się. Mózg stawał się pustym. Było to szaleństwo.

Ta myśl potworna, jedyna, jaką mógł sobie uświadomić, rzuciła go na kolana przed wrogiem. Załamał ręce i ciężko szlochał. Nie mógł mówić — język miał sparaliżowany, ale łzy jego były wymowne. Błagał niemi o litość, o zaniechanie zemsty, najstraszliwszej, jaką mógł wymyślić mózg ludzki.

Czy rudy człowiek zlitował się nad swą ofiarą, czy też uważał, że doświadczenie jest skończone, dość, że przerwał tok i podał rękę Sebastyanowi, który podniósł się automatycznie i usiadł pokornie na krześle.

Rysy jego uspokoiły się i powoli przybierały wyraz zupełnej bezmyślności. Nie zdawał się już cierpieć, z twarzy znikły ślady przerażenia. Ale włosy zbielały mu zupełnie, a oczy utkwione były nieruchomo w oczach jego kata, który przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Oto — rzekł tamten — mózg pozbawiony najzupełniejszej oryentacyi. Działanie przerywanego toku jest rzeczywiście nadzwyczajne. Obezwładnia z początku ośrodki mózgowe, w których rodzą się myśli. Następnie, wskutek reakcyi, komórki zaczynają pracować, ale działanie toku jest tak gwałtowne, że plączą myśl i nadają jej kształt odwrotny. Ostatnie sylaby słów stoją z początku, a pierwsze wyrazy zdania znajdują się na końcu. Ten człowiek mógłby teraz mówić, ale nikt go nie zrozumie.

Żeby sprawdzić to, rudy mężczyzna spojrzał na Sebastyana takim wzrokiem, że ten nie był w stanie znieść go. Zamknął oczy i cofnął odruchowo głowę, jakgdyby spojrzenie to miało siłę uderzenia.

Ale nielitościwy dręczyciel położył palce na powiekach swej ofiary i otworzył je. Później pociągnął szybko palcami kilkanaście razy koło oczu detektywa i spojrzał w nie głęboko.

— Czy poznaje mnie pan?

Usta biedaka poruszyły się, ale nie rzekł nic.

— Proszę mówić! — rzekł rudy człowiek rozkazująco. — Rozkazuję panu!

I powtórzył swe pytanie:

— Czy poznaje mnie pan?

Przerażenie odbiło się na bladej twarzy detektywa. Przeciągnął ręką po zmarszczonem silnie czole. Zdawało się, że czyni nadludzkie wysiłki, żeby sformułować swą myśl i wreszcie z warg jego wyszedł ten dziwny dźwięk:

— Mumu kantbryfa...

Twarz nieszczęśliwego wyraziła straszne zdziwienie, gdy usłyszał wychodzące z własnych ust dziwaczne słowa.

Ale rudy mężczyzna zdawał się rozumieć je, gdyż rzekł głośno:

— Tak, jestem Fabrykantem mumii. Ale kim jestem prócz tego? Kim?

Jednocześnie zerwał rudą brodę i maskę, zakrywającą mu twarz i przysunął się tak blisko, że jego błyszczące oczy prawie dotykały detektywa.

Nieszczęśliwy wybuchnął śmiechem szaleńca i zawołał głosem, w którym nie było nic ludzkiego:

— Av tordok...

Ale oprawca przerwał mu kilku szybkiemi poruszeniami ręki, potem, patrząc mu w oczy, rzekł powoli, wymawiając wyraźnie i dobitnie każde słowo, jak gdyby pragnął wbić je w mózg swej ofiary:

— Nie, pan się myli. Ja nie jestem Fabrykantem mumii. Fabrykantem mumii jest pan Ducroc, szef bezpieczeństwa, pan słyszy?

Sebastyan poruszył się i otworzył usta...

Czy chciał protestować?

Ale piorunującem spojrzeniem rudy człowiek zniszczył ostatni odruch buntującej się woli.

— Powtarzam panu, że Fab-ry-kan-tem mu-mii jest pan Duc-roc... pan Duc-roc... pan Duc-roc... wierzy mi pan teraz?

— Tak... tak... tak... — odparł nieszczęśliwy detektyw kilkakrotnem kiwnięciem głowy.

— Dobrze... Pójdzie mu pan to powiedzieć, pan sam jutro... jutro rano w jego gabinecie.

— Tak... tak... — zgodził się Sebastyan wciąż kiwając głową.

— I to będą ostatnie zrozumiałe słowa, jakie pan wypowie w życiu.

Tym razem Sebastyan nie odpowiedział. Wolę jego zabito, ale myśl w nim żyła jeszcze... Ale straszliwa siła jego wroga zamknęła tę myśl pod czaszką, jak w trumnie, z której nigdy już nie będzie w stanie wydostać się.

Męczarnie przechodziły jego siły. Gardło ścisnął kurcz, pierś podniosła się szlochaniem, opuścił głowę i cicho płakał...

ROZDZIAŁ XXIII.

Tajemnicza wspólniczka.

P. Ducroc od godziny chodził gorączkowo po swym gabinecie od drzwi do okna, zatrzymując się co chwila przy oknie, żeby wyjrzeć na ulicę i przy drzwiach, żeby nadsłuchiwać.

I znowu rozpoczynał swą przechadzkę, z rękami założonemi na plecy, z oczyma spuszczonemi. Niepokój nie pozwalał mu usiedzieć na miejscu: od dwóch dni nie miał wiadomości od Sebastyana — wbrew jego obietnicy, że da znać o rezultacie swych poszukiwań na drugi lub najdalej na trzeci dzień po rozmowie w opuszczonym domu.

Co to miało znaczyć?

W chwili, gdy po raz setny zadawał sobie to pytanie, nie mogąc znaleźć na nie odpowiedzi, usłyszał w przedpokoju hałas. Słychać było prośby, odgłos walki, przekleństwa i przenikliwy krzyk kobiety:

— Puśćcie mnie! Puśćcie mnie! Mówię, że chcę się widzieć z szefem bezpieczeństwa.

Jednym skokiem p. Ducroc był przy drzwiach i otworzył je gwałtownie.

Do pokoju wpadła młoda kobieta, z zaczerwienioną twarzą, z ubraniem w nieładzie. Dwóch ajentów napróżno starało się ją zatrzymać. Ujrzawszy pana Ducroc zatrzymała się nagle.

— Co to znaczy? — zapytał urzędnik rozgniewany i zdziwiony zarazem. — Co za hałas? Od kiedyż to do mego gabinetu wchodzi się jak do szynku?

— Proszę darować, panie szefie — odparł jeden z ajentów — ale to nie nasza wina. Ta szalona chciała widzieć się z panem, powiedzieliśmy jej, że to niemożliwe, wtedy zaczęła nas bić, kopać, drapać, i wdarła się tutaj.

— Co znaczy to dziwne zachowanie się pani? — zapytał szef, marszcząc brwi.

— Znaczy to, iż mam panu powiedzieć rzecz tak ważną, tak nie cierpiącą zwłoki, że musiałam zobaczyć się z panem pomimo wszystko.

— Tak? I cóż ma pani tak ważnego do powiedzenia?

Kobieta milczała przez chwilę, chwytając powietrze. Słychać było jej urywany oddech.

— Więc? — zapytał p. Ducroc zniecierpliwiony.

Jeszcze brakowało jej tchu. Wachlowała się chusteczką, wreszcie odetchnąwszy ostatni raz bardzo głęboko, rzekła słabym, ale stanowczym głosem:

— Jestem wspólniczką Fabrykanta mumii.

P. Ducroc podskoczył. Gdyby bomba wybuchnęła mu pod nogami, nie wywołałaby tak wielkiego wzruszenia, jak to oznajmienie.

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Dwaj ajenci stali nieruchomo z otwartemi ustami, wpatrując się ze zdumieniem w nieznajomą.

— Tak — ciągnęła po chwili kobieta, nie zdając się zauważać, jakie wywarła wrażenie, — tak ja jestem tą kobietą o zielonych oczach, której policya poszukuje od tylu miesięcy. Nie trzeba szukać dłużej, przychodzę sama i chcę wydać policyi Fabrykanta mumii.

P. Ducroc wahał się. Miotały nim sprzeczne uczucia. Czy ta kobieta mówiła prawdę? Ton głosu jej brzmiał tak szczerze, że można było uwierzyć. Ale z drugiej strony — oczy jej patrzyły tak błędnie, że wyglądała na pozbawioną zmysłów.

Widocznie odgadła podejrzenia pana Ducroc, gdyż zawołała:

— Nie, panie szefie bezpieczeństwa... Nie, nie jestem obłąkaną... Przysięgam panu, że mówię czystą prawdę. Ale przecież pan nie może nie poznać mnie, we wszystkich dziennikach była moja fotografia.

Jej fotografia! Pan Ducroc nie dał sobie powtarzać tego dwa razy. Chwycił teczkę ze sprawą Bridgetona i wyjął z niej fotografię, znalezioną w kieszeni ubrania trupa.

Nie można było wątpić — przedstawiała ona kobietę, która stała przed nim.

— Niech mi pan pozwoli teraz mówić — rzekła, zdenerwowana widocznie temi formalnościami. — I tak straciliśmy już za wiele czasu. Uciekam przed Fabrykantem mumii, który śpieszy za mną, który idzie tutaj...

— Jakto! — krzyknął p. Ducroc, nie chcąc brać na seryo słów młodej kobiety — nigdy nie uwierzę pani, żeby był tak bezczelny...

— Tak... tak... mówię panu, że idzie... idzie... niech mi pan pozwoli mówić... żebym mogła się zemścić... żebym mogła przynajmniej powiedzieć panu jego nazwisko, jeżeli nie zdążę dać dowodów... Fabrykant mumii to...

Nie dokończyła, głos jej załamał się i przeszedł w chrypienie, jak gdyby ściśnięto ją gwałtownie za gardło. Starała się przemódz to, walczyła...

— Ach! — wyszeptała z trudnością przerywanym głosem. — Mówiłam [panu, że zapóźno, już zapóźno... Ach! ta przeklęta ręka... dusi mnie, nie pozwala mi mówić...

Wskazując palcem drzwi, z rozszerzonemi z przerażenia oczyma, drżąc całem ciałem, ciągnęła:

— Słyszę go... widzę go... zbliża się... jest na schodach... za chwilę wejdzie... oto on!

W tej chwili drzwi otworzyły się i ukazała się w nich poczciwa twarz starego Bernarda:

— Pan doktor Vanesco zapytuje, czy pan szef zechce go przyjąć.

Na te słowa młoda kobieta wydała przeraźliwy okrzyk i padła na wznak, zemdlona.

Pan Ducroc oszołomiony, stał, nie wiedząc, co począć; zaledwie znalazł siły, żeby wyjąkać rozkaz wprowadzenia gościa.

Doktor Vanesco wszedł.

— O! O! — rzekł, kłaniając się panu Ducroc ze zwykłą swobodą i lekko uśmiechając się — zdaje mi się, że w czas przybywam, żeby ofiarować panu swe usługi.

— Rzeczywiście — odparł tamten, zaczynając przychodzić do siebie — poproszę pana o pomoc, tembardziej, że sceny tego rodzaju są niesłychanie przykre i chciałbym się jak najprędzej pozbyć tej kobiety. Jakaś histeryczka... Niech pan sobie wyobrazi, że przed chwilą twierdziła, iż słyszy i widzi Fabrykanta mumii po przez ściany tego pokoju — jak wchodzi na schody, jak zbliża się do drzwi i... wie pan, kto wszedł?

— Skądżesz mam wiedzieć? — odparł Vanesco najnaturalniej w świecie.

— Pan — odparł pan Ducroc.

Jednocześnie patrzył badawczo na twarz lekarza, chcąc dojrzeć na niej jakieś wzruszenie. Ale zawiódł się — twarz Vanesco była zupełnie spokojna.

— A! — rzekł, śmiejąc się — zbadam z przyjemnością taką pacyentkę. Postaramy przywrócić jej przytomność.

Mówiąc to, wziął na ręce młodą kobietę i posadził ją w fotelu. Chora była bardzo blada, oczy miała przymknięte. Vanesco wyjął zegarek i wziął ją za puls. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

— No, nic jej nie będzie... Przeszła atak epileptyczny pod wpływem silnego wzruszenia, obecnie jest w stanie podobnym do omdlenia, spowodowanym wyczerpaniem, które zwykle towarzyszy takim atakom. Kilka kropli eteru lub szklanka wody melisowej postawi ją na nogi... Pan nie ma tu żadnego z tych środków?

— Poślę po nie — odparł pan Ducroc, dając jednemu z ajentów polecenie.

— Tak będzie najlepiej — rzekł spokojnie Vanesco. Sądzę, że za kilkanaście minut będzie mogła odpowiadać na pytania, jakie pan jej zechce zadać. Jednakże — dodał — nie radzę panu zbyt jej wierzyć. Ta kobieta jest histeryczką i prawdopodobnie wszystko, co panu powie — będzie potworsi stekiem kłamstw.

— Sądzi pan? — zapytał p. Ducroc z odcieniem ironii w głosie.

— Niech pan przejrzy parę dzieł o histeryi, a przekona się pan. Histeryczki znane są ze skłonności do kłamania.

— Jednakże — rzekł pan Ducroc — co do jednego punktu — to powiedziała mi prawdę.

— Mianowicie?

— Że jest sławną kobietą o zielonych oczach, której szukamy oddawna... Jest wspólniczką Fabrykanta mumii...

— Co pan mówi?! — wykrzyknął Vanesco ze zdziwieniem znakomicie udanem, jeśli nie było szczerem... — Więc to historya prawdziwa?

— Jeżeli pan porówna tę fotografię z oryginałem — przekona się pan naocznie, że niepodobna o tem wątpić.

Vanesco wziął fotografię i badał ją szczegółowo, porównując z rysami zemdlonej kobiety — wreszcie położył fotografię na stole.

— Ma pan słuszność — podobieństwo jest zupełne. Poczem dodał z uśmiechem, który nie był wolny od ukrytej ironii:

— Niech pan przyjmie serdeczne gratulacye, panie szefie bezpieczeństwa. Jest więc pan bliski celu swych długich poszukiwań. A jeśli pan teraz nie skończy z Fabrykantem mumii...

— O! jestem o to spokojny — odparł pan Ducroc z pewnością siebie, — tembardziej, że w chwili, gdy pan tu miał wejść, ta kobieta chciała mi powiedzieć nazwisko zbrodniarza.

— A! No i cóż?

— Ale — odparł szef bezpieczeństwa, patrząc na doktora dziwnym wzrokiem — w chwili, gdy miała je wymówić, zaszedł dziwny wypadek. Wyglądało to tak, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka chwyciła ją za gardło i nie pozwoliła jej wymówić tego nazwiska. Dziwne, nieprawdaż?

— Niech pan jej pozwoli przyjść do siebie; będzie mówiła... Wszystkie histeryczki — to wielkie gaduły. — Vanesco powiedział to tak spokojnie i z taką pewnością siebie, że pan Ducroc zadrżał. Istotnie ten człowiek był zbyt silny. Czuł, że w nierównej walce, jaką z nim rozpoczął — nie zdoła go pokonać. Żałował teraz, że pozwolił mu wejść do gabinetu. Jeżeli Vanesco potrafił działać na odległość, a miał tego dowód — jeżeli po przez grubość murów był w stanie swą niesłychaną władzą magnetyczną zamknąć usta tej kobiecie, — cóż będzie teraz, gdy znajduje się przy niej?! Nie wyzna nic, a jeżeli powie co — to jak mówił — będą to same kłamstwa.

Ajent powrócił, niosąc butelkę żądanej wody — wraz z nim przyszedł sekretarz szefa, spotkany przez ajenta na ulicy i uwiadomiony o tem, co zaszło.

Kiedy młoda kobieta wypiła szklankę lekarstwa, odetchnęła głęboko, westchnęła i rozejrzała się dokoła ze zdziwieniem; zdawała się nic nie pamiętać...

— Gdzie jestem? — zapytała słabym głosem.

— Proszę się uspokoić — rzekł pan Ducroc, podchodząc. I dodał swym najmiększym głosem:

— Proszę sobie przypomnieć. Dopomogę pani... Znajduje się pani w gabinecie szefa bezpieczeństwa, przyszła tu pani, żeby porobić zeznania dotyczące Fabrykanta mumii..., miała mi pani powiedzieć jego nazwisko, gdy...

Oczy nieznajomej błysnęły ogniem dzikiej nienawiści. Pamięć powróciła jej odrazu.

— Jego nazwisko! — zawołała. — Ależ pan zna je równie dobrze, jak ja, cały Paryż zna to nazwisko, jest to...

P. Ducroc zbladł ze wzruszenia, oczekując na to słowo, które w myśli już wymówił. Ale młoda kobieta zatrzymała się raptownie z otwartemi ustami. wzrok jej napotkał oczy doktora Vanesco, który siedział z boku i wpatrywał się w nią.

— Więc? — zapytał szef bezpieczeństwa, powstrzymując oddech.

— Nie, nie mogę — wyjąkała, krztusząc się. Zbladła gwałtownie, oczy nabrały błędnego wyrazu.

— Proszę pani! — zawołał Ducroc, wystraszony tą zmianą. — Niech się pani nie poddaje słabości, niech się pani uspokoi... proszę mówić... nic się pani złego nie stanie... Przeciwnie, przyrzekam, że będzie pani zaliczone wszystko, co pani powie, żeby dać wyjaśnienie sprawiedliwości i uwolnić społeczeństwo od tego potwora.

Ponieważ nie odpowiadała, dodał jeszcze:

— Może chce pani, żebyśmy byli sami? Czy obawia się pani kogo? Moich ajentów? Tego pana?

Wskazał palcem na doktora, rzucając mu piorunujące spojrzenie. Vanesco wytrzymał je ze spokojem, uśmiechając się ironicznie. W uśmiechu tym łączyło się wyzwanie z tryumfem.

— Nie... nie... nie... — krzyknęła młoda kobieta z przerażeniem.

Jednocześnie rozglądała się po pokoju błędnym wzrokiem, jakby szukając sposobu ucieczki. Później poruszyła się, chcąc powstać, ale siły zawiodły ją i opadła na fotel z wyrazem rozpaczy.

— Więc — nastawał p. Ducroc, którego cierpliwość wyczerpywała się — powie nam pani nazwisko tego człowieka? Chcę znać to nazwisko!...

Kobieta ukryła twarz w dłoniach; wielkie łzy pociekły po palcach, — szlochając konwulsyjnie, wyszeptała:



Do pokoju wpadła młoda kobieta z zaczerwienioną twarzą i ubraniem w nieładzie.

— Nie, nie mogę mówić... On każe mi milczeć... On mi każe... Boże, zlituj się nademną...

I zanim zdołano zrozumieć, co chce uczynić, zerwała się na równe nogi, ruchem szybkim, jak błyskawica, sięgnęła za gors, wyjęła stamtąd maleńką szklaną tubkę, podniosła do ust i połknęła jej zawartość. Skutek był piorunujący.

Nieszczęsna zwaliła się w tył na ręce pana Ducroc, który przybył za późno, by wyrwać jej truciznę. Ciało jej skurczyło się w konwulsyach, niesłychanie silnych. Twarz zmieniła się gwałtownie, pokryła wielkiemi plamami. Oczy nabiegły krwią. Oddech, coraz krótszy, wydobywał się z krtani ze świstem, napełniając powietrze zapachem gorzkich migdałów.

Konając, z pianą na ustach, wyszeptała przez zaciśnięte zęby:

— Nie... nie uciek... nie się... od... Fab... ry...-kan... ta... mumii...

Tajemnicza kobieta o zielonych oczach umarła, nie wyjawiwszy swej tajemnicy.

Obecni spojrzeli po sobie z przerażeniem. Pan Ducroc wyrwał z trudnością z zaciśniętych kurczowo rąk zmarłej szklaną rurkę i podał ją doktorowi bez słowa lecz z wymownem spojrzeniem.

— Cyanek potasu — odparł Vanesco bez najmniejszego wzruszenia.

Poczem dodał chłodno:

— Niema co robić.

Słowa te dźwięczały jeszcze w powietrzu, gdy nagle wszyscy spojrzeli na drzwi, słysząc za niemi zbliżające się kroki.

Drzwi otworzyły się.

— Sebastyan! — krzyknął pan Ducroc z radością. I pomyślał:

— Nareszcie! Oto mój odwet.

Postąpił parę kroków naprzeciwko detektywa, ale natychmiast zatrzymał się, skamieniały z przerażenia, widząc straszliwą zmianę, jaka zaszła w jego podwładnym. W przeciągu dwóch dni postarzał się o dwadzieścia lat, osiwiał zupełnie i zgarbił się.

Zobaczywszy ruch pana Ducroc, Sebastyan odskoczył i patrząc na swego szefa błędnemi oczyma — wskazując go palcem, krzyknął ze śmiechem szaleńca:

— Oto jest Fabrykant mumii!

Część III.

ROZDZIAŁ I.

Kochanek.

Minął rok od opisanych tragicznych wypadków. Paryż począł oddychać swobodniej: nie słychać już było o zbrodniach potwornych, o tajemniczych zagadkowych zniknięciach. Opinia publiczna, uspokojona — poczęła wierzyć, że straszliwy Fabrykant mumii, sam znużył się własnemi zbrodniami, lub też — co najprawdopodobniejsze — zginął.

Jeden tylko pan Ducroc wiedział, co o tem myśleć. Nie, Fabrykant mumii nie umarł.

Potwór miał teraz miliony, wydawał je i siedział spokojnie, nie potrzebując krwi i złota. W chwili, gdy znowu zabraknie mu pieniędzy — powróci znowu do swych potwornych zbrodni. Chwila ta właśnie nadeszła — pan Ducroc wiedział o tem, nie potrzebując nawet zasięgać specyalnych informacyi.

Straszliwy krach finansowy, który zrujnował Stephensona, a pośrednio i jego zięcia, doktora Vanesco — był zbyt głośny, by o nim nie wiedziano. Była to jedna z tych katastrof, które wstrząsają całym światem finansowym i o których wiedzą wszyscy.

— Niedługo usłyszymy o nowej zbrodni Vanesco — myślał pan Ducroc, który nie miał najmniejszych wątpliwości co do osoby Fabrykanta mumii. Miał na to za wiele krzyczących dowodów. Dowodów? Nie, niestety, dowodów, na podstawie których mógłby otwarcie oskarżyć doktora Vanesco — nie miał. Jedyny, jakiego miał mu dostarczyć Sebastyan Blanc — wymknął mu się z rąk.

Tajemnicze przejście, które — zdaniem nieszczęśliwego detektywa — miało łączyć domek przy ulicy Świętego Jakóba z lecznicą Colleta — nie było odnalezione. Napróżno odrzucono sławną kupę węgla, nic nie znaleziono pod nią. Przeszukano starannie całą piwnicę, nie odkryto nic — wszędzie była ubita równo, twarda ziemia.

Próbowano pytać Sebastyana, nie dało to jednak żadnych rezultatów. Nieszczęśliwy — w stanie zupełnego obłąkania — zamknięty był w lecznicy doktora Septimusa, zwanego Czarnym Doktorem w Auteuil. Pomimo wszystkich wysiłków znakomitego specyalisty — nie zdołano otrzymać od detektywa żadnych wyjaśnień — odpowiadał niezrozumiałymi dźwiękami, które niepodobne były do żadnego ze znanych języków.

W przeciągu całego tego roku Vanesco był przedmiotem tajnej i ściślej obserwacyi. Nie zauważono jednak w jego zachowaniu absolutnie nic, co mogłoby wzbudzić najlżejsze podejrzenia. Widocznie miał się na baczności, lub też poprostu siedział spokojnie, mając pieniędzy podostatkiem. Wierny swym zasadom, nie zdradzania swych podejrzeń, pan Ducroc podtrzymywał z lekarzem stosunki przyjacielskie.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Republika na wulkanie.

Krótkiem jest życie republiki portugalskiej, a jednak obfite w przejścia i zatargi. Zwolennicy monarchii, kierowani ręką tajemnych wysłanników eks-króla Manuela, raz po raz próbują wzniecić powstanie, aby na nowo zaprowadzić w kraju monarchię.

Rządy republikańskie w Portugalii, które dla ludności nie okazały się znowu tak błogimi, jak przypuszczano pierwotnie, wywołują ferment rozczarowania. To też zabiegi monarchistów znajdują podatny grunt i licznych zwolenników zwłaszcza w północnej części kraju.

Próby wzniecenia kontrrewolucyi monarchicznej



Republika na wulkanie: Armata i sztandary skonfiskowane rewolucyonistom rojalistycznym w Portugalii.

podejmowano już kilkakrotnie. Wojska monarchistów wkraczały już do Portugalii ze strony Hiszpanii, jak również próbowano wkroczyć od strony morza. Wojska republikańskie wychodziły jednak zawsze zwycięsko z walk z monarchistami i choć próbowali oni obsadzać graniczne miasta, nie udało im się w nich utrzymać. Ostatnią próbę zrzucenia władzy republikańskiej podjęto znowu przed kilkunastu dniami. Do sprzysiężenia wciągnięte były cztery pułki, dwa pułki piechoty, oraz dwa kawaleryi.

Przez zdradę jednego z oficerów należących do spisku, całą rzecz wykryto i rozpoczęły się masowe aresztowania w całej Portugalii. W kilku miejscowościach wybuchły rozruchy i monarchiści usiłowali przekroczyć granicę, ale wojska rządowe stłumiły rewolucyę w zarodku.

Illustracye nasze przedstawiają odebraną monarchistom broń i sztandary.



Samopomoc robotnicza w Żyrardowie: Członkowie stow. robotniczego „Siła" i pracownicy piekarni współdzielczej.

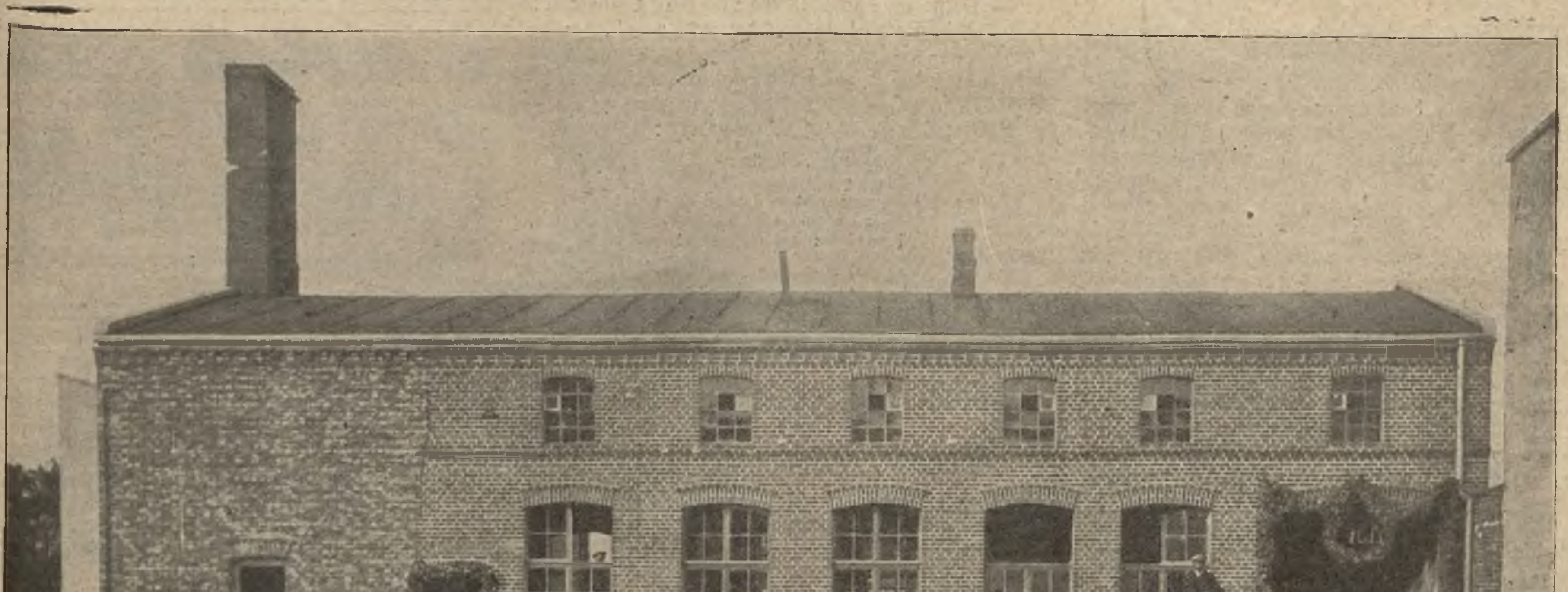
Europa w Afryce.

(Do illustracyi na str. 3).

Nie można powiedzieć, aby plemiona arabskie północnej Afryki były zbyt przyjaźnie usposobione do gospodarujących tam Europejczyków. O istotnych uczuciach tubylczej ludności do europejskich „opiekunów" świadczą urządzane od czasu do czasu... rzezie Europejczyków w Marokku. Niemniej kultura europejska przenika do Afryki przynajmniej na punkcie rozmaitych rozrywek i towarzyskich przyjęć. Pod tym względem Arabowie naśladują Europę. Wymownym tego dowodem było przyjęcie, jakie zgotował emir Tangeru, Abd el Malek, kilku dygnitarzom arabskim.

Był to najformalniejszy bankiet, na którym nie tylko zastawa stołu (z krzesłami), ale i menu było całkiem europejskie.

Uroczystość ta, podczas której nie brakło nawet toastów, zakończyła się, tak samo jak u nas w Krakowie, wspólną fotografią, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Samopomoc robotnicza w Żyrardowie: Tłumy publiczności i robotników, biorące udział w otwarciu piekarni współdzielczej. (Fot. M. Fuks, Warszawa)

Kronika tygodniowa.

Więc już mamy ostatecznie wakacye i to w całej pełni tego słowa, gdyż nawet i rada miejska krakowska odbyła dwa ostatnie posiedzenia, oddała ster rządów w ręce prezydyum i sekcyi poszczególnych i ułożyła się do snu letniego.

Zaczęła się kanikuła, sezon polowań na węże morskie i kaczki dziennikarskie.

Jednym z pierwszych, którzy opuścili Kraków i wybrali się na wakacyjny odpoczynek, był naturalnie niżej niepodpisany kronikarz, który rzecz prosta skierował swe kroki ku letniej stolicy Polski, to jest ku Zakopanemu, uprzedziwszy się pierwej w drodze urzędowej, że na Podhalu nie panuje ani szkarlatyna, ani ospa, ani nawet pryszczyca i że drożyzna nie jest tam wcale większą jak w Krakowie.

Sądziłem, że przy tej sposobności uda mi się zrobić i złoty interes, to jest zdobyć nagrodę, przeznaczoną przez rodziców panny Szystowskiej, w kwocie dwu tysięcy koron za odnalezienie żywej, lub tysiąc za jej zwłoki.

Ponieważ jednak nigdy zaginionej na swe oczy nie widziałem, a podczas poszukiwań konieczna jest dokładna znajomość rysopisu odnośnej osoby, trudno bowiem zapytywać każdą napotkaną w Tatrach panienkę: „Przepraszam, czy mam przyjemność z panną Szystowską?" — udałem się do krakowskich fotografów, którzy posiadają jej podobizny.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu dowiedziałem się wszędzie, że rodzice zastrzegli sobie najwyraźniej, że nie wolno nikomu sprzedać fotografii ich córki. Jeśli ktoś chce, aby poszukiwania odniosły pożądany skutek, powinien postarać się, aby rysopis i podobizna zaginionej znane były jak najszerszemu ogółowi.

Wybrałem się więc bez fotografii, na chybił trafił...

W Zakopanem, gdzie ruch wre już w całej pełni, nikt nie mówi o niczem innem, tylko o owym tajemniczym wypadku. Na tem tle rozsnuwają letnicy całą przędzę najfantastyczniejszych przypuszczeń (prym wiedzie naturalnie płeć nadobna), jeden z młodszych literatów zabiera się nawet do napisania sensacyjnej powieści i w tym celu zakupił już dwie libry papieru i litr atramentu z lwowskiej fabryki „Tlen".

Ekspedycye ratunkowe z psami policyjnymi i bez nich powróciły z niczem, dziś wie się daleko mniej, niż przed dwoma tygodniami, gdy katastrofa miała miejsce. Pewien jegomość aż w Wenecyi, i to prawdziwej, a nie krakowskiej lub wiedeńskiej, zebrał podobno pewne ciekawe szczegóły, z którymi zjechał zaraz do Zakopanego, niestety były to tylko zamki na lodzie i rozpłynęły się pod działaniem pierwszych promieni słonecznych.

W tej sprawie urzęduje także komisya śledcza, wydelegowana z ramienia sądu powiatowego i obwodowego i oczekuje pozwolenia ze strony rządu węgierskiego, by módz na tamtejszem terytoryum rozpocząć czynności urzędowe.

Najwięcej zwolenników ma hipoteza, że zaginiona, zabłąkawszy się w górach, padła ofiarą półdzikich juhasów węgierskich.

Jak na sezon ogórkowy, to wypadek ten jest bardzo pożądany, nie braknie bowiem pismom codziennym materyału do najrozmaitszych przypuszczeń.

Na ogół Zakopane bawi się dobrze, urządzają tu nawet dni kwiatka, które taką sympatyą cieszą się u nas w Krakowie.

Ponieważ właśnie na ubiegłą niedzielę naznaczone było coś podobnego, uważałem za stosowne na ten właśnie dzień ulotnić się z Zakopanego, a udać się do Krakowa, gdzie zapowiedziany był pierwszy popularny festyn na wystawie architektonicznej, połączony z premiowaniem naszych piękności.

Wyjechałem umyślnie w sobotę na noc. Wówczas pociągi, idące w stronę Krakowa, są prawie pozbawione pasażerów, nadzwyczajną ich liczbą cieszą się natomiast te (tak zwane kominiarskie), które w tym samym czasie rozwożą z nad Wisły słomianych wdowców w różne strony świata.

Spotkałem w drodze dwa takie pociągi. Biedne lokomotywy ledwie sapały ze znużenia, przez oświetlone *al giorno* (?) okna wagonów, widziałem biednych pasażerów, gniotących się jak śledzie w beczce.

W Krakowie zastałem ruch, jakiego się wcale nie spodziewałem. W kawiarni Bisanza i w Teatralnej, u Hawełki i Wołkowskiego, ba, nawet w poważnych apartamentach pana Wentzla wre agitacya, niczem przed wyborami do Rady państwa. Sądziłem, że rozchodzi się o zmianę statutu miejskiej Kasy oszczędności, która była na porządku dziennym posiedzenia Rady, lub choćby o rozdział dziesięcio-milionowej pożyczki pomiędzy zgłodniałe rzesze — dowiedziałem się jednak, że tak nie jest. Powodem był właśnie ów konkurs piękności, jaki urządził komitet wystawy architektonicznej.

Żal mi bardzo, że wyłączono zeń mężczyzn, jestem bowiem pewny, że nie minęłaby mnie, jeśli nie pierwsza, to przynajmniej druga lub trzecia nagroda. (Jeśli nie *Sieg*, to przynajmniej *Platz*, jak powiadają zawodowi wyścigowcy.)

Popołudniu na placu wystawowym ruch i ścisk, jak we wagonach kolei państwowych w tak zwanych pociągach wycieczkowych (dlatego właśnie nazwanych *Vergnügungszüge...*) Pogoda dopisuje, cały Kraków wyległ na Błonia. Płeć piękna stanowczo przeważa, brzydka kryje się w jej cieniu...

Hyeny wyborcze przy robocie, szwindel z kartkami wyborczemi (sztuka po dziesięć halerzy) kwitnie w całej pełni; jeden z panów prokuratorów, który wraz ze mną spaceruje aż wzdycha:

— Gdyby to tak przy prawdziwych wyborach, a nie podczas konkursu piękności!.. Dałbym ja im bobu!

Młodzi ludzie setkami oddają swe głosy ubóstwianym, proszą jednych, grożą drugim, obiecują trzecim. Zapał ich udziela się i żonatym, którzy przybyli, aby pod okiem swych połowic odpocząć sobie po całotygodniowych wysiłkach i zaczerpnąć pełną piersią świeżego powietrza, a może i pilzneńskiego nektaru...

I oni kupują kartki i wypełniają je najrozmaitszemi nazwiskami. Oddają głosy swym żonom, choć uśmiechają się przytem ironicznie, odważniejsi znajomym panienkom, lecz ściągają na siebie gniew swych żon, zresztą zupełnie uzasadniony.

Sam słyszałem na własne uszy następującą, półgłosem prowadzoną, rozmowę:

— I znów kupujesz kartki?.. Nie szkoda to pieniędzy...

— Dajże mi spokój!.. To taki miły aniołeczek!..

— Ach, Pawle! Ja ci oczy wydrapię!..

W ten sam deseń toczą się dyskusye małżeńskie, illustrowane mniej lub więcej energicznymi gestami. Mężowie udają, że ich nie rozumieją.

Przypomniały mi się słowa poety:

„Idą zygzy, idą figi,
Idą pięści i kułaki...
Jejmość gestem gardzić umie
Lecz się śmieje jaki taki
I powiada: Nie rozumiem!"

Koniec końców korupcya wyborcza święci swe najwspanialsze tryumfy, kiełbasa wyborcza odchodziłaby również, gdyby w restauracyi można się było o coś doprosić. Taki tu ścisk, ale zarazem i bezhołowie wśród służby. Pięć kwadransów siedzimy na werandzie, ja i mój towarzysz, ochrypliśmy już od wołania na kelnerów, oni zupełnie nieczuli są na nasze głosy.

Już, już, zirytowany, chciałem jednemu z nich urwać połę fraka, a może go choć w ten sposób zatrzymam, gdy tymczasem dają znać, że komisya skrutacyjna skończyła już swe czynności i ogłasza wynik.

Wszystko, co żyło, podążyło w tę stronę.

Niewiasty jeszcze po drodze poprawiają fryzury i przeglądają się w kieszonkowych lusterkach, jedna na drugą spoziera w zawiści z pod oka.

— A może ja?.. — wzdycha pewna pani półgłosem.

— Dobra sobie! — odpowiada w ten sam sposób druga. — Stare pudło! Wystawa pudeł będzie dopiero w sierpniu!..

Wreszcie ogłoszono wynik głosowania i przyznanie nagrody.

Tu i ówdzie odzywają się głosy:

— To wynik niesprawiedliwy!..

— Widoczna stronniczość komitetu!..

— Mnie skradziono co najmniej pięćset głosów!..

— Ja im tego póki życia nie daruję!.. Cymbały! Oni się znają na piękności!..

Ostatecznie trzeba się było pogodzić z garbatym losem.

Część niezadowolonych podążyła do domu, druga część do „Wesołej Jamy" Danielewskiego. Na wystawie zrobiło się trochę przestronniej, można przynajmniej oddychać i docisnąć się do wielkiego ołtarza, jeśli wolno tak nazwać jadłodajnie, które mają głodnych nasycić, a pragnącym gardło zalać...

Zaczyna się obmawianie przyjaciółek, krytyka odznaczonych, wymyślanie na brak gustu u mężczyzn, znudzony i zirytowany dążysz więc ku tramwajowi i w małeńką godzinkę jesteś już w rynku, gdzie czekają na cię otwarte podwoje różnych przybytków, które przeklęła Eleuterya.

Jednego tylko zrozumieć w żaden sposób nie mogłem, a także nikt mi tego wytłumaczyć nie potrafił.

Na ogłoszeniach, zawiadamiających o owym historycznym festynie, czytałem wyraźnie: Koncert dwu orkiestr wojskowych. Tymczasem widziałem i słyszałem tylko jedną, a to samo powiadają i inni. Zdarza się czasem, że ktoś zaprószy sobie głowę jakowąś trunkowością i widzi wówczas podwójnie, aby jednak dwa przedmioty, w tym wypadku dwie pełne orkiestry wojskowe zlać się miały w jedną, o czemś podobnem nie słyszałem. Zresztą trzeźwy byłem, jak najgorliwszy abstynent.

Zdaje się, że komitet wystawowy, czy festynowy, chciał w ten sposób zrobić publiczności niespodziankę.

Choć właśnie mamy w całej pełni wakacye i polityka powinnaby drzemać spokojnie, tak jednak nie jest. Na horyzoncie gromadzą się chmury, zwłaszcza w stronie Turcyi słychać groźne grzmoty. Tu i ówdzie podnoszą się głosy, że Turcyę trzeba podzielić, i okruchami jej obdarzyć mocarstwa europejskie a jego sułtańską mość osadzić w Azyi. Niech wraca, skąd przybył.

Zachodzi jednak obawa, że przy tym podziale gotowi się cywilizowani Europejczycy pobrać za łby i dać zły przykład innym częściom świata.

Włochom zachciewa się gwałtownie Dardanelli, atakują też Turcyę z tej strony, Albania dokucza jej z drugiej, Rosya pilnuje trzeciej, Niemcy i Anglia nie pozostałyby także w tyle, słowem położenie bez wyjścia.

Nas dotyczy to o tyle, że Austrya zyskałaby ewentualnie dostęp do morza Egiejskiego i kawałek Albanii, na razie zaś musi utrzymywać pogotowie wojenne wzdłuż granicy włoskiej, a to kosztuje bardzo wiele.



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Poszukiwania pod Krzesanicą. (X) Szczyt Krzesanicy, (XX) miejsce, gdzie zostawiono p. A. Szystowską. (Fot „Tatry", Zakopane).



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Poszukiwania z psem policyjnym: 1. wachmistrz Sąsiedzki z Łąki z psem, 2. przewodnik Jakób Wawrytka, zast. naczelnika Pogotowia, 3. wachmistrz z Zakopanego. (Fot. „Tatry", Zakopane").

Tajemnicze zniknięcie w Tatrach.

Tajemnica zaginięcia pod Krzesanicą, w Tatrach, słuchaczki filozofii Wszechnicy krakowskiej, panny Aldony Szystowskiej, nie została dotąd wyjaśnioną. Kilka ekspedycyj ratunkowych pod komendą wytrawnych taterników, naczelnika tatrzańskiego pogotowia ratunkowego, p. Zaruskiego i p. Znamięckiego, przy pomocy ajenta policyjnego z Krakowa, dwóch wachmistrzów żandarmeryi oraz tresowanych psów, przeszukało wszystkie możliwe miejsca w dalekiem promieniu od Krzesanicy i — wszystko nadaremnie. Wszystkie kombinacye i przypuszczenia zawiodły, zagadka pozostała zagadką. Nieszczęśliwi rodzice zaginionej przybyli ze Żmudzi i osiedli w Zakopanem, wyczekując w trwodze i niepewności jakiejś wieści o córze ukochanej, która na kilka dni jeszcze przed katastrofą wysłała do nich z pod Babiej Góry widokówkę, na której skreśliła pełne radości słowa, że zaraz po ukończeniu wycieczki naukowej w Tatry, przybędzie do rodzinnego ogniska, do umiłowanych rodziców.

W tych dniach ogłoszono nagrodę w kwocie 2.000 koron za odnalezienie Szystowskiej przy życiu, a 1.000 koron za wskazanie jej trupa. Wszystko przemawia za tem, że Szystowska zginęła gdzieś w Tatrach, może wśród wielkich mąk fizycznych, zbłądziwszy w polach kosodrzewiny lub w lasach po węgierskiej stronie. Wszelkie inne przypuszczenia i plotki, które srodze raniły serca stroskanych rodziców, nie mają żadnych podstaw.

W Zakopanem przeprowadzał sędzia śledczy z Nowego Targu, p. Stiasny, śledztwo, powołując do przesłuchania wszystkich członków wycieczki, w której Szystowska wzięła udział, wszystkich członków ekspedycyi ratunkowej i kilka innych osób, które o życiu Szystowskiej mogły podać jakieś szczegóły. Równocześnie sąd węgierski prowadzi śledztwo po węgierskiej stronie i przesłuchuje liptowskich juhasów. Obaj sędziowie śledczy zejdą się prawdopodobnie pod Krzesanicą i zbadają naocznie teren, który niezawodnie stał się grobem dla Aldony Szystowskiej. Czy jednak zabiegi sądu rozwikłają zagadkę — trudno powiedzieć.



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Aldona Szystowska.

Samopomoc robotnicza w Żyrardowie.

Walka robotników o byt zaczyna u nasześrodkowywać się w pewnym kierunku, który, jak się okazuje, jedynie może doprowadzić do upragnionego celu tj. poprawy bytu klasy pracującej. Pomijając organizacye zawodowe, rozpoczęto akcyę samopomocy przez organizowanie spółek wytwórczych i stowarzyszeń współdzielczych.

Akcya ta wydała już bardzo piękne rezultaty. W Księstwie Poznańskiem współdzielcze organizacye robotnicze obejmują dziesiątki tysięcy robotników, posiadają własne kasy, przez które rocznie przepływają już miliony marek.

W Galicyi akcya ta może mniej jest wydajną, gdyż zastępy robotników są nieliczne, mimo to jednak może poszczycić się już dodatnimi rezultatami.

W ostatnich czasach bardzo pięknie rozwinął się ruch kooperacyi współdzielczej w Królestwie. Zarówno w Warszawie, jak i w prowincyonalnych centrach robotniczych powstało wiele stowarzyszeń i spółek robotniczych, rozwijających się doskonale.

Między innymi w Żyrardowie założyli robotnicy stowarzyszenie współdzielcze „Siła", które tak dobrze się rozwija, iż przed kilku dniami otwarto przy ulicy Janowskiej własną piekarnię współdzielczą. Całe prawie miasto brało udział w tej uroczystości, świadczącej o energii i uświadomieniu robotników. Obok piekarni ma stanąć wkrótce budynek na kąpiele dla piekarzy.

Jubileusz 25-letniej pracy.

(Do illustracyi na str. 4).

W tych dniach krakowska sekcya telefonów i telegrafów obchodziła jubileusz swego szefa, star-



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Komisya, wydelegowana przez Tow. Tatrzańskie, celem zbadania przebiegu wycieczki dra Sawickiego. 1. M. Zaruski, 2. dr. Wł. Kulczyński, 3. p. Al. Znamięcki, (X) wachmistrz Sąsiedzki z psem. (Fot. „Tatry", Zakopane).



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Komisya na grani Rzędów. 1. M. Zaruski, 2. inż. Matyjewicz, 3. I. Prauss. (Fot. „Tatry", Zakopane).



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Pogotowie ratunkowe po noclegu w opuszczonym szałasie w Dolinie Cichej, wyrusza rano na dalsze poszukiwania. 1. M. Zaruski, 2. dr. L. Sawicki.

szego komisarza Kazimierza Dutczyńskiego, dając obchodem tym wyraz swych uczuć dla zasłużonego i światłego kierownika.

Uroczystość jubileuszową rozpoczęło rano o godzinie 9 wręczenie darów, składających się z portretu jubilata i artystycznego tableau. Licznie zebrani koledzy i personal sekcyjny *in corpore* oczekiwali szefa w odświętnie przybranej sali, gdzie wygłoszono szereg gorących przemówień, podnoszących zasługi jubilata jako kierownika tak ważnej instytucyi i jego umiejętność rządzenia, oraz takt w obejściu. Do głębi wzruszony jubilat tą niespodziewaną owacyą w ciepłych słowach podziękował za wyrazy życzliwości i uznanie, jakie go spotkało.

Uroczystość tę zakończyła zainicyowana przez werkmistrzów składka na dar grunwaldzki.



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Ekspedycya ratunkowa.

Tego samego dnia wieczorem podejmowano jubilata wieczornicą w salach klubu pocztowego. Szereg wygłoszonych toastów dał wyraz wielkiemu uznaniu, jakim się jubilat cieszy nie tylko u swych kolegów i podwładnych, lecz także u przełożonych i w sferach urzędnictwa pocztowego. W czasie bankietu przygrywała muzyka 56 pp. To też wobec serdecznego nastroju, jaki panował na wieczornicy, rozwinęły się po ukończonej biesiadzie ochocze tany, które przeciągnęły się do białego dnia.

Illustracya nasza przedstawia bankiet jubileuszowy na cześć komisarza Dutczyńskiego w sali Klubu pocztowego.

XIII. wycieczka artystyczna lwowskiego Chóru akademickiego.

Z pośród naszych drużyn śpiewaczych jest „lwowski Chór akademicki" bezsprzecznie jedną z najsympatyczniejszych, choć — zaznaczyć trzeba — i jedną z najbardziej oszczędzających się co do większych występów estradowych. W przeciągu kilku ostatnich lat nie było też zupełnie koncertów tego Towarzystwa we Lwowie. Dopiero ogłoszona niedawno zapowiedź jubileuszowego obchodu dziesięciolecia istnienia i rozpisany konkurs na utwory chóralne zdradziły tajemnicę tej skromności, pozornej tylko, bo o ile lwowski Chór akademicki przygotowuje obecnie dla Lwowa poważniejszy występ w sezonie jesiennym, to przecie nie zaniedbuje „zbierania laurów" w naszych miejscowościach kąpielowych, gdzie jest stale corocznym, zawsze mile witanym gościem. Tam to nawiązuje młoda drużyna owe nici sympatyi, wiążące ją zarówno z publicznością naszą jak i gośćmi z innych stron Polski, w pierwszym rzędzie przez koncerty zdrojowe, które w latach ostatnich stanęły dzięki talentowi obecnego kierownika artystycznego p. Edwarda Jurczyńskiego na wcale wysokim poziomie artystycznym, a poza tem przez swoje reuniony, uznane powszechnie w kołach naszych pięknych kuracyuszek za „clou" zabaw w sezonie letnim.

Temu też przypisać należy, że mimo większej pracy wokalnej, jaka go czeka w tym roku, lwowski Chór akademicki pozostaje wiernym swej tradycyi i rozpoczyna swoje turnée w pierwszych dniach sierpnia. Plan wycieczki prowadzonej przez przew. Chóru p. Hermana Fieberta, będzie obecnie nieco krótszy, niż zwykle, bo obejmie tylko Krynicę (2 go), Zegiestów (3 go), Zakopane (5 go) i Szczawnicę (7-go sierpnia). Na program koncertów, obok produkcyi skrzypcowych pana Józefa Cetnara, artysty znanego zaszczytnie z lwowskiej estrady koncertowej, złożą się także w poszczególnych zdrojach występy bawiących tam artystów. Program wokalny, gdzie znajdują się utwory



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Pogotowie ratunkowe przeszukuje lejek głębokości 50 metrów na stoku południowym Krzesanicy. (Fot. „Tatry", Zakopane).

najwybitniejszych współczesnych kompozytorów polskich, więc: Niewiadomskiego, Nowowiejskiego, Zeleńskiego, Galla, Maszyńskiego, Jareckiego, Noskowskiego, Walewskiego etc., będzie ponadto urozmaicony melodeklamacyą (tłomaczenia Chopina i Karłowicza) oraz mnóstwem piosenek wesołych, któremi Chór akademicki na swych wycieczkach zwykł rozrzutnie szafować.



XIII. wycieczka artystyczna lwowskiego Chóru akademickiego: Grupa członków Chóru: 1. dyrygent E. Jurczyński, 2. przewodniczący H. Fiebert.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 28.

Zadanie konikowe:

Choć pożyteczną jest mowa,
Pohamuj ust twych ochotę,
Srebrnemi mogą być słowa,
Milczenie jest szczerozłote.

Zagadka literacka:

Augcstynowicz
Reymont
Tetmajer
Umiński
Reymont
Gawlikowska
Reymont
Umiński
Słoński
Zola
Esteja
Corelli
Kon
Igowski.

Zadanie do przestawienia: Baby mają długie włosy, a rozum krótki.

Figielek: Gniewa się baba na targ, a targ o tem nie wie.

Arytmogryf:

Czortków
Oświęcim
Gródek
Łańcut
Ottynia
Wadowice
Andrychów
Tarnów
Okocim
Rzeszów
Olesko
Zaleszczyki
Uhnów
Mielec

Zadanie do przestawienia: Nie widziała koza woza, zaprzęgła się do powroza.

Kryptogram:

O kobiety, jak wielką jest wasza potęga
Od was szczęście pochodzi, jeśli go doznajem,
Od kolebki do trumny wasza władza sięga,
Bez was pustynią, z wami świat może być rajem.

Zadanie do przestawienia: Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie cielę

Rebus: Dobre lub złe imię, oto wszystko, co pozostawiamy po sobie na świecie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Zaleski Czerniowce, J. Bałuk Kołomyja, M. Gottlieb Sambor, D. Staniszewski Lwów, J. Cichoń Warszawa, D Sedyńska Zakopane, K Radoszewski Tarnobrzeg, K. Fuchs Czeremchów, L. Zapałowicz Wilno, S. Bukowski Kijów, J. Gruszczyńska Wadowice, M. Aibesbauer Lwów, S. Raczyński Rzeszów, T. Chrzanowski Suwałki, K. Różycki Lwów, R. Gadomski Zakopane, J. Wójtowicz Rzeszów, H Maciejowska Winnica, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Wojciechowski Kraków, R. Świrski Piotrków, S Kowalówka Kraków, K. Szumańska Rawa Ruska, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Obraczay Morawska Ostrawa S. Ryglicki Poznań, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, S. Karwowski Pilzno, M. Kapalska Tarnów, J. Popiel Mińsk, M. Toporowski Lwów, S Niżyński Lwów, R. Gawlik Jabłonów, G. Samlicki Przemyśl, J. Jaglarz Lwów, S Baziak Staszów, M. Horak Oświęcim, S. Stawarski Wiedeń, M. Krawecki Radomyśl, J. Krysakowski Częstochowa, S. Mróz Lwów, J. Sperling Wiedeń, Z. Mazaraki Radom, L. Czerniecki Cieszyn, M. Broda Lwów, M. Cegielska Poznań, P. Madejski Wiedeń, M. Więckowska Warszawa, M. Ligęza Lwów, L. Berezowski Nowy Sącz, S Bobrowska Warszawa, F. Schmidt Cieszyn, K. Dulęba Lwów, K. Malinowska Lwów, I Błachowski Szczucin, S Kozarski Warszawa, M. Wojakowski Petersburg, W. Kwaśniewski Lwów, I. Brzostowski Podgórze, H. Piątek Podwołoczyska, R Majewski Lwów, I Galiński Sanok, K. Zegartowska Bogucice, R. Zięba Sandomierz, J. Topolnicki Kamieniec, A. Leszczyński Wadowice, S. Sokołowski Rzeszów, J. Wilczkiewicz Stanisławów, A. Barnat Złoczów, C. Wang Tarnobrzeg, S. Karczmarski Kraków, L. Bandrowski Częstochowa, M. Łapiński Warszawa, J. Janik Drohobycz, H. Kamiński Petersburg, A. Gralewski Kraków, J. Kruszelnicki Janów, M. Maresch Lwów, K. Gliński Kołomyja, K. Armatys Ulanów, D. Engelberg Rzeszów, J. Obst Łódź, S. Kozłowski Kraków, H Linderska Zakopane, H. Biesiadecki Kraków, J. Jakubowska Kraków, K. Kaim Czarna, M. Trepka Sandomierz, K. Hoszowski Jaremcze, J. Czarkowski Skierniewice, H. Lasocińska Lublin, S. Reich Łódź, J. Gans Lwów, M. Wyka Sambor, T. Kinalski Tarnopol, J. Kamocka Kalisz, H. Wincencik Kraków, F. Blatterfeind Jaworów, A. Lichański Radziwiłłów, S Fijałkowski Jasło, K. Dębiński Lwów, S. Nowacki Przemyśl, J. Strojek Tarnopol, L. Aleksandrowicz Płock, M. Scholz Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Sanok, A. Trzeciak Krynica, J Gajewski Tarnów, L. Lisowski Warszawa, E. Mianowska Lwów, H. Lisowski Kołomyja, H. Schwarz Warszawa, H. Mizerska Poznań, W. Ostrowski Petersburg, R. Link Lwów, K. Mann Bochnia, W. Zawadzki Tarnów, M. Potocka Kraków, K. Kadulski Oświęcim, R. Korytowski Jasło, I Trojacki Wiedeń. K. Dubiel Krosno, A. Siatka Kraków, L. Langer Krynica, E. Niestenberger Zakopane, I Rosenbaum Rzeszów, M. Jahoda Cieszyn, I. Roland Kielce, W. Borkowski Chrzanów, I. Wiewiórowski Szczawnica, T Nikiel Kraków, A. Biliński Tarnopol, M. Sadowska Poronin, I. Zachara Mielec, J. Gruber Drohobycz, M. Orlińska Jaremcze, E Dębiński Szczawnica, J. Stępień Rabka, M. Klappholz Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **A. Leszczyński, Wadowice.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z „Cyrku Edison“: Od dnia 26 lipca do 2 sierpnia 1912. daje Dyrekcya wspaniały dramat „Karbonaryusz“. W pięknych scenach granych przez pierwszorzędnych artystów widzimy sprzysiężenie, nieudały zamach i egzekucyę tych nieustraszonych nieprzyjaciół papiestwa i rządu. Wesołe humoreski z niezrównanymi komikami H. Prince i Max Linder budzą salwy śmiechu niemilknącego. Dziennik Pathego przynosi jak zwykle przegląd wypadków ostatniego tygodnia.

Zwracamy uwagę P. T. Publiczności, że przedstawienia wieczorne rozpoczynają się o godzinie 8 i pół a kończą się po 10-tej.

Zwracamy uwagę naszych P. T. Czytelników na firmę Hannsa Konrada, c. i k. nadwornego dostawcy w Brüx No. 2919 (Czechy). Wyroby tej firmy możemy każdemu najgoręcej polecić, znakomita ich bowiem jakość uznana została przez liczne złote i srebrne medale, jakoteż przez udzielenie pozwolenia używania cesarskiego orła. Firma powyższa cieszy się jak najlepszą opinią tak w kraju jak i poza jego granicami i wysyła swe wyroby do wszystkich części świata. Bogato illustrowane katalogi z około 4000 rycin przesyła się każdemu na żądanie darmo i opłatnie.

Z półek księgarskich.

Macierz Polska wydała jako Nr 73. swej Biblioteki książeczkę dyrektora Bronisława Duchowicza p. t. Napoje alkoholowe, ich wpływ na duszę i ciało człowieka. Autor omówił własności alkoholu jako trucizny, dał zwięzły zarys historyi alkoholizmu, przedstawił działanie napojów alkoholowych na ciało ludzkie (na serce, żołądek, wątrobę, mózg), nie zaniedbał nakreślić wpływu alkoholu na moralność i dobrobyt, wszechstronnie rozstrząsnął sprawę t. zw. umiarkowanego picia, wreszcie wskazał sposoby walki z alkoholizmem. Tekst objaśniają ryciny. Dziełko liczy 100 stron, cena 50 halerzy.

Ze świata kobiecego.

Jak się czesać?

Z uśmiechem zapewne niejedna z Was, miłe Czytelniczki spojrzy na ten tytuł dzisiejszego artykuliku. Jeśli jednak chcecie być sprawiedliwe, musicie mi przyznać, że do całokształtu wdzięku postaci kobiecej nie wystarczy tylko ubrać się w ładną suknię. Głowa, uczesana w fryzurę nie modną lub zgoła nie twarzową, traci bardzo wiele ze swego uroku, podczas gdy nieraz odpowiedniem upięciem włosów można podnieść swą urodę lub w razie, jeśli natura troszkę jej poskąpiła, przecież uzyskać wygląd możliwy.

Dlatego też sprawy tej w zakresie kunsztów



Suknia letnia, z groszkowego muślinu, ubrana wstążką i koronką.

toaletowych pomijać nie można, ale przeciwnie należy poświęcić jej bardzo baczną uwagę.

Zauważyć należy, że fryzura nadaje wyraz twarzy. Dlatego też nadmierne przeładowanie fryzury sztucznemi puklami lub węzłami, nienaturalne jej wydłużanie, nie tylko psują zgrabny kształt głowy, ale zmieniają często i wyraz twarzy na niekorzyść. Zapewne, nie zawsze można dzisiaj upinać fryzurę z własnych warkoczy, czasem trzeba z konieczności uciec się do pomocy kunsztu fryzyerskiego, ale cała finezya i dobry smak polega na tem, aby właśnie granicę między naturą a sztuką możliwie zatrzeć. Zresztą, mężczyźni pogodzili się już dzisiaj z tem, iż do wielu modnych fryzur potrzeba także fałszywych loków lub warkoczy, jednak zgody tej nie należy nadużywać.

Zasadniczym rysem charakterystycznym obecnej mody jest, że włosy pokrywają w uczesaniu uszy. Powtóre zamiast ozdób z wstążek do fryzur używa



Budka kąpielowa, z jedwabiu w kolorze *vieux-rose.*

się obecnie chętnie przepięć metalowych lub platynowych, wreszcie rajerów. Wraca również grzywka, choć bardzo nieśmiało i to tylko przy fryzurze specyalnie upinanej. Mianowicie cała główka pokryta jest karbowanymi wzdłuż włosami, które w zręcznem podpięciu zebrane są nisko ku tyłowi głowy. Z przodu nad czołem jest grzywka, która oddzielona jest od reszty fryzury przepięciem z bursztynów.

Równie pięknem jest upięcie włosów w ten sposób, że zwinięte są one wokoło głowy w luźne loki, które jednak nie spadają niżej, jak tylko po uszy, zakrywając je. Wokoło zaś głowy fryzura podtrzymana jest pięknym ażurowym paskiem platynowym.

Kto ma duże warkocze (swoje lub nie) upina je w olbrzymi węzeł na tyle głowy, z przodu zaś włosy rozdziela się w środku i zaczesuje na uszy, na które spadają w miękkich karbach. Warkocze przytrzymuje się dużymi przepięciami z szyldkretu po bokach głowy.

Upięcie warkoczy w kółka na uszach, które na wiosnę tak było modne, obecnie pozostało tylko w tej formie, że po obu stronach głowy warkocze



Czapeczka podróżna, w fason'e holandzkim z koronek.

podtrzymane są przez dwa piękne rajery, złączone nad czołem bogatem przepięciem metalowem.

Ponieważ moda uznała, że kobiety mają o tyle piękne szyje, iż nie powinny ich zakrywać, zarówno przyjętem jest noszenie silnie wyciętych sukien w lecie nawet na ulicę, jak również fryzury muszą być tak upinane, aby na szyję nie opadały.

Należy także pamiętać i o tem, że przy upinaniu fryzury nie trzeba zbytnio obarczać upięciem tyłu głowy. Przeciwnie, obecnie moda dlatego właśnie na pierwszy plan wysuwa loki, aby włos więcej równomiernie i lekko na całą głowę rozdzielić.

Na zakończenie dodam uwagę, że i do sukni nie tylko do twarzy fryzura winna być dostosowana.



Suknia letnia, do kąpieli, z białego i ciemno-granatowego płótna, przybrana dużymi guzikami szklannymi.

Wobec tego, że suknie dzisiejsze w części swej czerpią wzory z czasów dawniejszych, także i w upięciach fryzur przypominają się, choć bardzo nieśmiało, początki XIX w. *W.*

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

1 Część I.

Nieodnaleziony człowiek.

ROZDZIAŁ I.

Tajemniczy proszek.

Paulin Brcquet stał przed trupami mężczyzny i młodej kobiety i skrobał się w głowę. Był to charakterystyczny gest, po którym można było poznać, że detektyw wytęża wszystkie swe władze mózgowe, chcąc rozwikłać trudne zagadnienie. Pomocnicy jego stali za nim nieruchomi, jak posągi, patrząc na swego szefa, gotowi w każdej chwili do wykonania jego rozkazów. Obok detektywa stał komisarz policyi, wezwany przez odźwierną zaraz po odkryciu zbrodni. Załatwił już przedwstępne formalności, przyjrzał się trupom i rzekł:

— Myślę, że będziemy mieli ładną sprawę!

Paulin Brcquet, wyrwany nagle z zamyślenia odpowiedział mruknięciem, nie przestając zresztą przyglądać się trupom i skrobać po głowie.

— To niesłychane! — ciągnął komisarz. — Tu, przy ulicy Saint Marc, w pobliżu Giełdy, obok bulwarów, w samem sercu Paryża — taka zbrodnia! To nie do uwierzenia!

— Tak! — odparł wreszcie detektyw w podrażnieniu. — To prawda...Ale pomimo wszystko fakt morderstwa nie ulega wątpliwości — i to jedno powinno nas teraz interesować.

Poczem zwracając się do jednego ze swych pomocników, nazwiskiem Mapipe, rzekł mu na ucho:

— Przynieś mi białej tasiemki i laku... Prędko!

Pochylił się nad trupem mężczyzny i przyglądał się jego głowie, potem badał włosy kobiety. Wreszcie wyprostował się i począł chodzić powoli po pokoju, rzucając wszędzie badawcze spojrzenia. Pokój był bardzo wysoki, dość obszerny; całe umeblowanie stanowił duży stół, stojący w rogu, kilka krzeseł i stary fotel, obity skórą. Musiało to być biuro, lub pokój przeznaczony dla urzędników, lub też kantor jednego z maklerów, którzy gnieżdżą się dookoła giełdy.

Paulin Broquet obszedł pokój. Uwaga jego zatrzymała się na sztorach z grubej materyi, które zasłaniały szczelnie okna, nie przepuszczając ani odrobiny światła.

— A! — rzekł półgłosem — to ciekawe!

Wydarł z notesu kawałek czystego papieru i przyłożył go do sztory, palcem zaś drugiej ręki począł w nią lekko uderzać. Podniósł się obłoczek kurzu, świadczący, że sztory oddawna nie były trzepane. Detektyw zebrał na kawałek papieru nieco pyłu, położył papier na stole i począł mu się przyglądać przez lupę. Przy tej czynności zauważył, że powierzchnia stołu była również pokryta pyłem.

— O! — mruknął do siebie — i tu także...

Wyjął z kieszonki od kamizelki zeszycik bibułki papierosowej, wydarł z niego jeden arkusik, zmiął w ręku i starł powierzchnię stołu, zbierając starannie pył pokrywający go, na kawałek czystego papieru.

Ostrożnie złożył obydwa papierki, napisał na każdym kilka słów i schował w portfelu. Uczyniwszy to, ukląkł i zaczął starannie badać posadzkę. Po chwili zwrócił się do jednego z policyantów:

— Czy nie masz, Gabryelu, kawałka kredy przy sobie?

Policyant podał żądany przedmiot.

Paulin Brcquet nakreślił na podłodze przed biurkiem dwa krzyże w odległości około jednego metru jeden od drugiego i wreszcie trzeci krzyż przed nimi w tej samej odległości, poczem podniósł się.

— Daj mi swą laskę — rzekł do Gabryela.

Sprawdził laską odległość między krzyżami, następnie odmierzył trzy metry od ostatniego krzyża do ściany.

— Równo trzy metry! — mruknął.

Wyjął znowu lupę i począł przyglądać się ścianie oklejonej starą, zużytą tapetą.

— Tak — mówił — raz..., dwa..., trzy..., cztery Ślady pluskiewek... Tam, dalej to samo... I zawsze tworzą kwadrat.

Połączył ślady pluskiewek ze sobą liniami przy pomocy kredy i powrócił do trupów.

Mężczyzna leżał w starym skórzanym fotelu, głowę miał odrzuconą na oparcie. Rysy jego, potwornie wykrzywione, świadczyły o ciężkiej męce przedśmiertnej. Na ustach miał różową pianę. Kobieta była rozciągnięta na ziemi. Zdawała się być młodą i piękną. Ubrana była skromnie, z pewną jednak kokieteryą, cechującą panny sklepowe i urzędniczki biurowe Paryża. Twarz jej była pokryta zaskrzepłą krwią, zarówno jak ręce, które zdawały się być unurzane w tym płynie.

Paulin Brcquet nachylił się nad mężczyzną i zaczął badać jego włosy i wąsy.

Włosy były czarne, rozdzielone starannie pośrodku głowy, wąsy tegoż koloru; rysy, choć zmienione cierpieniem, zdradzały wschodnie pochodzenie nieboszczyka.

Ajent znowu wyjął kawałek czystego papieru podłożył go pod głowę nieszczęśliwego i strząsnął nań pył pokrywający włosy; złożył go następnie i schował w portfelu wraz z poprzednimi.

. . . .

W tej samej chwili zjawił się Mapipe i wręczył zwierzchnikowi przedmioty, po które był posłany. Paulin Brcquet założył taśmę pod brodę trupa, otoczył nią głowę i związał mocno u góry. Następnie zalakował końce taśmy i wycisnął pieczęć pierścieniem. To samo uczynił z wąsami zmarłego; założył na nie taśmę i końce zalakował.

— Panie, pan założył pieczęcie na włosach i wąsach trupa! — zawołał zdziwiony tą czynnością komisarz.

— Tak jest!

— Po co?

— Ponieważ są fałszywe.

Nie zwracając uwagi na osłupienie urzędnika, wywołane tem oświadczeniem — Paulin Broquet nachylił się nad leżącą kobietą. Po chwili chował do portfelu czwarty pakiecik z pyłem, tym razem zebranym z włosów dziewczyny.

— Dziwne, — zauważył, zwracając się do swych ajentów, — kobieta ta, jak i mężczyzna zajmowali się fotografowaniem i są pokryci pyłem magnezyowym, jak również i wszystkie sprzęty w pokoju.

Wtem, jakby coś przypomniał sobie, zwrócił się do komisarza.

— Czy pan już ukończył śledztwo?

— Tak.

— I skonstatował pan dwa wypadki śmierci?

— Naturalnie.

— Ale tu jest tylko jeden trup.

— Jeden?!

— Mężczyzna.

— A więc kobieta...

— Żyje.

Komisarz oniemiał ze zdziwienia. Jakto, przecie przed chwilą sam stwierdził śmierć młodej kobiety!

— Chłopcy, — zwrócił się Paulin Broquet do swych ajentów, — przenieście do drugiego pokoju tę nieszczęśliwą i biegnijcie po doktora; może się nam uda wyratować ją jeszcze.

Ajenci podnieśli kobietę i choć przyzwyczajeni byli do patrzenia na różne okropności, nie mogli jednak powstrzymać okrzyku zgrozy!...

Nieszczęśliwa miała odcięty język i wszystkie palce u rąk!

— Widziałem! widziałem! — rzekł Broquet... — To dlatego, aby nie mogła nic opowiedzieć — ani napisać...

— To jest panna, pisząca na maszynie, nieprawdaż? — zapytał komisarza.

— Tak!

ROZDZIAŁ II.

Z wielką ostrożnością przeniesiono młodą kobietę do przyległego pokoju. Po chwili nadbiegł lekarz, lecz po zbadaniu chorej zwątpił w możność uratowania jej.

Wtem odezwał się dzwonek telefonu, znajdującego się w kancelaryi bankiera. Oddzielał ją od pokoju, w którym leżała młoda kobieta, wąski korytarzyk, wychodzący na schody. W tej chwili kancelarya była zajęta przez sędziego śledczego i prokuratora. Paulin Broquet, który z zasady zawsze prowadził wszelkie badania na swoją rękę i na swój sposób, nie zwrócił uwagi na dzwonek. Wtem ukazał się jeden z policyantów.

— Panie, proszą pana do telefonu.

— Mnie! Kto?

— Prefekt policyi, panie. Ma być bardzo pilne.

Brcquet polecił komisarzowi i Gabryelowi, aby zostali w pokoju, poczem udał się do kancelaryi, gdzie prokurator, czekając na niego, opowiadał prefektowi policyi o szczegółach zbrodni.

Paulin Broquet wziął z rąk prokuratora słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

— Hallo, czy to pan Brcquet?

— Ja, panie prefekcie.

— Czy nikt nas nie może słyszeć?

— Nikt, panie.

— To, co mam panu powiedzieć, musi pozostać w tajemnicy. Rozumie pan, panie Brcquet, w największej tajemnicy...

— Rozumiem, panie prefekcie. O co chodzi?

— Niech się pan pospieszy z ukończeniem śledztwa przy ulicy Saint Marc i przyjdzie do ministeryum spraw zagranicznych, lecz tak, aby tego nikt nie zauważył.

— Dobrze, panie prefekcie. Czy znowu jakaś zbrodnia?

— Może. Znaleziono w gabinecie ministra drzwi od kasy ogniotrwałej — zawierającej ważne dokumenty — otwarte. Widzi pan, iż...

Dalsze słowa stały się niezrozumiałe z powodu gwałtownego szumu w telefonie.

— Hallo! hallo! — krzyczał Paulin Broquet... — Hallo! Nic nie słyszę.

Hałas ustał i prefekt mógł dalej mówić.

— Hallo! To pan, panie Brcquet?

— Tak, to ja.

— Czy pan odchodził od aparatu?

— Nie.

— Słyszałem jakiś hałas.

— Ja także.

— To dziwne... Przed telefonowaniem mówię zazwyczaj swe nazwisko, aby mi nie przerywano rozmowy bez mego upoważnienia. Tymczasem jestem pewny, że się ktoś przyłączył do naszej linii.

— Mnie się to również wydaje.

— To znaczy, że ktoś widocznie podsłuchał naszą rozmowę?

— Tak, panie prefekcie.

— Muszę to wyśledzić... Tymczasem przestańmy mówić i niech pan natychmiast przychodzi... Czekam na pana.

Paulin Broquet zawiesił słuchawkę i nie tłumacząc się urzędnikom, którzy byli mocno zaintrygo-

wani tą rozmową, wyszedł z gabinetu do pokoju, gdzie była popełniona zbrodnia.

— Czy pan znał nieboszczyka? — zapytał komisarza.

— Oddawna. Grał on na giełdzie... Operował przeważnie zagranicznemi papierami.

— A...

— Mówiono, że zrobił dość duży majątek, choć bank jego nie należał do pierwszorzędnych. Prowadził życie proste, spokojne; cieszył się opinią porządnego człowieka. To też byłem bardzo zdziwiony dziś rano, dowiadując się o spełnionem morderstwie.

— Jak on się nazywał?

— James Benamol.

— James!.. Anglik?..

— Egipcyanin... poddany angielski!.. Swego czasu przeglądałem papiery, stwierdzające jego tożsamość... Były w porządku.

— O, naturalnie. Ale czy pan podejrzewał wtedy, iż ten Egipcyanin nosi perukę i fałszywe wąsy?

— Przyznaję, że mi to nie przyszło do głowy.

— Otóż, niech pan się dowie, iż pański James jest taki angielski poddany, jak i jego włosy, i taki Egipcyanin, jak jego wąsy.

— Jakto? Co to znaczy?

— To znaczy, iż mamy przed sobą trupa człowieka, który się wydawał za kogo innego, niż był w istocie.

— A więc...

— A więc, cała zagadka staje się jeszcze trudniejszą do rozwiązania.

Wtem jakiś hałas dał się słyszeć, drzwi się gwałtownie otworzyły i do pokoju wpadła dozorczyni domu z oznakami najwyższego przestrachu.

. . . .

Pani Certain była dzielną kobietą, w wieku dosyć podeszłym; od dwudziestu lat pełniła obowiązki odźwiernej w tym samym domu.

— Panie komisarzu, panie komisarzu, krzyczała... On się zjawił... On tam jest... On wchodzi na schody... On jest tam... To upiór... To upiór...

Dalsze słowa uwięzły jej w gardle... Biedna kobieta zemdlała ze strachu.

Podczas, gdy komisarz i Paulin Broquet zajęli się ratowaniem omdlałej, ktoś za nimi odezwał się z pewnym nieokreślonym cudzoziemskim akcentem:

— Ależ moja kochana pani Certain, niechże się pani nie boi... ja nie jestem żaden upiór... To ja, na pewno ja!

Komisarz i Broquet obejrzeli się i pomimo, że byli przyzwyczajeni w swym zawodzie do najnieprawdopodobniejszych niespodzianek, jednak na widok człowieka, stojącego we drzwiach, wstrząsnęli się mimowoli.

To był sobowtór człowieka zamordowanego w tym pokoju.

Te same włosy pod kapeluszem, wąsy rude, brwi krzaczaste, taki sam nos, usta, oczy; ubranie nawet w niczem się nie różniło od ubrania trupa; koszula, krawat, perła w szpilce od krawatu były identycznie podobne do siebie.

Podobieństwo było tak wielkie, że Paulin Broquet mimowoli spojrzał na zamordowanego, jakby się chciał przekonać, że nie zginął, że leży na tem samem miejscu.

ROZDZIAŁ III.

James Benamol zatrzymał się we drzwiach, jakby zdziwiony widokiem tylu ludzi w swem mieszkaniu. Zdjął kapelusz; podobieństwo do trupa jeszcze więcej uderzyło wtedy obecnych.

Lecz Paulin Broquet prędko się opanował i zaczął badawczo przypatrywać się nowoprzybyłemu. Ten ostatni, ochłonąwszy nieco z osłupienia na widok trupa w swem własnem mieszkaniu, odezwał się:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zadanie literackie.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sącz.

Znaleźć nazwiska autorów, względnie autorek niżej wymienionych dzieł. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko słynnego francuskiego fizyologa i polityka.

Chrobry ?
W pryzmacie ?
Za wolność i lud ?
Niedociągnięte struny ?
Obrońcy bogów ?
Słabe serce ?
Romans uczciwej kobiety ?
Czahary ?
W słońcu ?

Logogryf.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Kreski i kwadraty zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko znakomitego polskiego malarza.

```
            □
          — □ —
        — — □ — —
      — — — □ — — —
    — — — — □ — — — —
      — — — □ — — —
        — — □ — —
          — □ —
            □
        — — □ — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Zmiana księżyca. 3. Taniec polski. 4. Miasto w Rosyi 5 Kierownik albo przewodnik. 6 Zabawa na cele dobroczynne. 7 Poeta angielski. 8. Instrument muzyczny. 9. Spółgłoska. 10. Część ciała. 11. Prastary mitologiczny ród bogów greckich.

Szarada.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Pierwsza druga, siostry niby
Głos ten słyną polne skiby,
Trzecia — czwarta w lesie siedzą,
Ludzie je tak chętnie jedzą,
Druga z trzecią rade będą,
Gdy *całość* dla się zdobędą.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
S a r a m a w ó r n a b i e g.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
R ó w, p y ł, m a g, s k i z y, ś, ą.

Łamigłówka.

Ułożył S. Kowalówka, Facimiech.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę zabawy, która taką popularnością cieszyła się na wystawie architektonicznej.

O — o
l — s
i — n
o — a
k — r
e — a
o — a
u — a
c — s
k — s
i — a
o — a
d — n
o — ć
a — h
l — n

Arytmogryf.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Liczby zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu.

```
            a   b
            1   8
            2   4
c  7  13    3   6   9   6  14
            4  10
d  8   4    5   9   6  11   6
            6  11
            7  12
```

Znaczenie wyrazów: 1 Imię męskie. 2. Drugi zbiór siana. 3. Półwysep w Ameryce. 4. Miasto w Rosyi.

Przysłowiówka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich polskie przysłowie:

1) Wyszedł, jak Zabłocki na mydle.
2) Siedź grzybie, póki cię kto nie zdybie.
3) Wet za wet! Darmo nic!
4) Gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła.
5) Jabłko niedaleko pada od jabłoni.
6) Kowal nie ukuje, czego natura nie dała.
7) Bez ochoty niespore roboty.
8) Co komu dolega, tego nikt nie czuje.
9) Każda liszka, swój ogon chwali.
10) Kowal zawinił, ślusarza powiesili.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
P a n k o t e k l e d w i e c i m i ę s o i s e r.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta.** (3 tomy).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.